Nr. 17. Poznań, Niedziela 22go Lipca 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd **Poznański**" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen., pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

Widmo secesyi.

Od chwili uzupełniających wyborów do parlamentu niemieckiego w okręgu mogilnicko-strzelińsko-inowrocławskim. zatarła się nieco wyrazistość konturów dwóch poznańskich stronnictw politycznych. Rozłam społeczeństwa ani na chwilę istnieć nie przestał, ale upalnej ciszy letnich miesięcy nie mąciły wojenne okrzyki. Skończyły się kampanie wyborcze, a tem samem znikły przyczyny energicznej akcyi zbiorowej, — przeciwnicy powrócili do obozów swoich i tylko od czasu do czasu rzucali race dziennikarskie w namioty wrogiego stronnictwa. Lękano się Kapuy dla odpoczywających żołnierzy i drobnemi wycieczkami podsycano antagonizmy.

W ubiegłym tygodniu dopiero zjawiła się na horyzoncie chmura, zapowiadająca burzę. Tu i tam ozwały się głuche łoskoty bębnów a w przeciwnych obozach ruch się ożywił, wróżąc poważniejsze starcie. Jeszcze wyraźna odezwa nie ukazała się w łamach dzienników, ale ton niektórych artykułów, taktyka stronnictwa ludowego i półsłówka liczne nie pozostawiają żadnej prawie wątpliwości, że zbliżające się wybory do rady miejskiej spowodują walkę zaciętą a może jawną secesyą.

Jak wiadomo czytelnikom naszym, istnieją w mieście Poznaniu dwa komitety wyborcze, z których jeden występuje w charakterze urzędowym jako komitet wyborczy miasta Poznania, drugi wysadzony z łona opozycyi, kwestyonującej legalność pamiętnych uchwał na sali Bazarowej, zjawia się w szrankach wojennych pod firmą „komitetu ludowego". Nie myślimy tu starych odgrzebywać dziejów, nie myślimy rozstrzygać, czy wyrok ławników ówczesnych słusznym lub niesłusznym mianować się godzi, — liczymy się z faktem dokonanym i uznając kompetencyą po wołanych na estradę rozjemców akceptujemy ich wyraźne wotum. Opierając się jednak na takim fundamencie, nie kwestyonujemy bynajmniej racyi bytu komitetu ludowego i energicznej akcyi stronniczej, uważając bądź co bądź publiczną działalność partyjną za objaw dodatniejszy od pokątnych konspiracyi Kuryerowo-Dziennikowego obozu. W brew opinii niektórych dzienników poznańskich zgadzamy się zasadniczo na formowanie i szeregowanie stronnictw w społeczeństwie naszem, a uznajemy tem samem prawo istnienia partyjnych komitetów wyborczych. Podkreślamy wyraz „partyjny" w przeciwstawieniu do komitetu ogólnego, który oba zwaśnione stronnictwa powołuje na arenę zapasów i rozstrzyga przedewszystkiem o zwycięstwie w łonie walnego zebrania, a następnie łączy przeciwników i przeciw wspólnym wyprowadza wrogom. Taka wspólna działalność jest w polskim interesie postulatem politycznym chwili obecnej, bo secesya w naszych warunkach powoduje zwykle mniejszy lub większy uszczerbek narodowy. W zbliżających się wyborach do rady miejskiej żadnych powodów do secesyi nie widzimy a przeczuwamy natomiast fatalne jej skutki. „Komitet stronnictwa ludowego" już samą firmą swoją świadczy wyraźnie, że nie rości sobie pretensyi do reprezentacyi miasta Poznania; jeżeli zatem logicznie i legalnie działać pragnie, to obowiązkiem jego wystąpić do walki na walnem zebraniu, zwołanem przez komitet ogólny, a za taki bądź co bądź to grono ludzi uznać należy, które zgromadziło ostatnie zebranie przedwyborcze na sali p. Kempfa. Stronnictwo ludowe, które niejednokrotnie już objawiło wiele zapału, energii i solidarności, rozporządza tak znacznemi siłami, że zorganizowane, zwarte i podniecone energiczną akcyą własnego komitetu może na walnem zebraniu dominującą odegrać rolę i na wskroś legalnie, nie naruszając prawideł naszego życia politycznego, zjednać zwycięztwo stanowcze dla postulatów swoich.

Treści tych żądań nie odsłonił dotychczas komitet opozycyjny. Przypuszczając jednak, że kością niezgody będą w pierwszym rzędzie osoby kandydatów na wakujące urzędy radzców miejskich, zwracamy uwagę, że polityczne różnice rozstrzygającej roli odgrywać tu nie powinny. Innym jest charakter wyborów do rady miejskiej, innym do sejmu i parlamentu. W pierwszych decydującym momentem nie jest polityczne credo kandydata, lecz przedewszystkiem dokładna znajomość stosunków miejskich i niewątpliwa swoboda w pełnieniu obowiązków przyjętych.

Oto wstępne słowo w tej sprawie, której w stanowczej chwili nie omieszkamy wszechstronniej rozpatrzeć.



Przegląd prasy słowiańskiej.

Organ chorwacki „Agramer Tageblatt," wychodzący w Zagrzebiu pisze z powodu rocznicy apostołów słowiańskich św. Cyryla i Metodego:

„My Słowianie południowi nie upatrujemy w Cyrylu i Metodym li tylko zwiastunów religii chrześcijańskiej, za inicyatywą których u nas chrześcijaństwo się rozkrzewiło, ale widzimy w tych mężach ludzi opatrznościowych Słowiańszczyzny, założycieli kościoła chrześcijańsko-słowiańskiego, propagotorów wzajemności słowiańskiej. Oni to spełnili misyą polityczną wiążąc Bułgarów i Serbów, Czechów i Polaków węzłem jednej wiary. Oni to dali nam jeden język cerkiewny i jedno pismo. Gdyby ich idee dalej rozwijano, spełniliby oni tę misyę w Słowiańszczyźnie, którą kilka wieków później spełnił w Niemczech Luther.

Mamy dowody historyczne, że już wówczas była działalność tych apostołów cierniem w oku dla tych, którzy byli wrogami wspólnego porozumienia się i zjednoczenia Słowian. Zwłaszcza Niemcy patrzeli na ich działalność okiem zawistnem, a duchowni niemieccy oczerniali mężów świętych przed Ojcem świętym, na szczęście bez skutku. Wiemy, że Niemcy w walce owej ze Słowiańszczyzną nie cofali się przed żadnym środkiem. ku pognębieniu Słowian. Tak też i wonczas. Ojciec św. orzekł niedawno, że samodzielność kościoła słowiańskiego nie została zniesioną osobnemi ustawami papiezkiemi, ale ginęła sama przez się skutkiem niedbałości Słowian i duchowieństwa, które nie kładło należytej wagi na język słowiawiański w liturgii. To też samodzielność taka musi być znowu przyznaną, jak się to stało faktycznie u nas w Chorwacyi.

Stulecia minęły i dziś znowu wśród Słowian rozpoczyna się ruch dążący swiadomie do jedności duchowej. Słowiańszczyzna budzi się z letargu. Wprawdzie nie wszyscy chcą uznać konieczność wzajemnego zbliżenia się, a zwłaszcza w duchowieństwie jest wielu gorliwych obrońców łacinizmu. Ale miejmy nadzieję, że Ojciec św. Leon XIII rozumiejący doniosłość liturgii słowiańskiej, jako znaku widomego spojni kościoła wschodniego ze zachodnim w myśl apostołów naszych słowiańskich rzecz popro-wadzi."

* * *

Wychodzący na Węgrzech, organ Rusinów węgierskich, „Listok", który obok miesię-

cznika „Cerkownoje Miesjace Słowo“ jest jedynem pismem ruskiem w Węgrzech pisze:

„Wśród Rusinów węgierskich czyni madziaryzacya postępy olbrzymie. Takich skutków szybkich nie spodziewali się zaiste Madziarzy sami; żadna inna narodowość w Węgrzech nie wynaradawia się tak szybko, jak właśnie Rusini. Gdzie spojrzysz renegactwo podnosi głowę, wszędzie lekceważenie ruskiego słowa, wszędzie madziaryzacya. Jeszcze dziś na Węgrzech jest nas Rusinów pół miliona, ale jak tak dalej pójdzie, to my sami nawet, w obecnem pokoleniu, doczekamy się madziaryzacyi zupełnej. Szkoła i Kościół idą w madziaryzacyi w zawody. Duchowieństwo ruskie, zwłaszcza młodsze, straszne zadaje ciosy sprawie ruskiej na Węgrzech. Już dziś tak daleko zaszło, że pomiędzy inteligencyą patryota ruski, to kruk biały...“

* * *

„Morawska Orlice“, organ partyi staroczeskiej, pisze:

„Bracia Polacy na punkcie znajomości stosunków morawskich są jeszcze daleko wstecz. Myślą oni, że nasze miasta morawskie, są czysto niemieckiemi jak Hamburg, lub Brema, bo nam do Berna przysłali plakaty o wystawie lwowskiej w języku niemieckim. Skutkiem interwencyi naszej zaniechano jednak plakaty te nalepiać na rogach ulic, gdyż z pewnością żaden Czech nie byłby wówczas na takie zaproszenie zważał. Zwróciliśmy uwagę na niewłaściwość takiego postępowania, a mimo to nie przestają nam z komitetu wystawy: „Pressbureau der Lemberger Landesausstellung“ przesyłać komunikatów niemieckich.

Niechaj nam nasi bracia Polacy przyznają racyą, że postępowanie takie jest godne nagany. Żądamy komunikatów w języku polskim, jeżeli już w czeskim ich nie ma, lub też w innym słowiańskim języku. Niemczyzny mamy tutaj po samą szyję, nie pragniemy wcale, aby nas nią raczyli Polacy lwowscy.

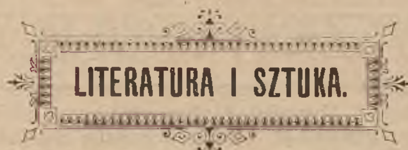
Przy tej sposobności przypominamy, iż swego czasu podczas wystawy paryskiej przysyłano nam referaty w języku czeskim. Nie wielką byłoby to trudnością dla Polaków zdobyć się na coś podobnego...“

* * *

Ruskie „Diło“, organ Ukrainofilów występuje z całym szeregiem zarzutów przeciw dzisiejszemu szkolnictwu ludowemu w Galicyi. „Diło“ takie wylicza krzywdy, dziejące się rzekomo Rusinom:

„Istnieje język polski wykładowy w wielu szkołach czysto ruskich i szkołach o narodowości mieszanej; nauczyciele ruscy bywają niesprawiedliwie klasyfikowani; wielu nauczycieli polskich uczy w szkołach ruskich bez dostatecznej znajomości języka ruskiego; nie ma w szkołach ruskich obowiązkowej nauki śpiewu kościelnego; charakter konferencyi nauczycielskich jest wyłącznie polskim; język urzędowy szkół również polskim.“

W obec tego domaga się „Diło“ dla zaradzenia złemu rozdzielenia krajowej rady szkólnej na polską i ruską. *K.*



LITERATURA I SZTUKA.

GERHART HAUPTMANN.

Studyum.

III.

Poświęciłem dłuższą ocenę pierwszym utworom Gerharta Hauptmanna, bo odsłaniają one, bądź to w karykaturze, bądź w embryonalnym zarodku wszystkie zasadnicze przymioty artystycznego indywidualizmu poety. Drobiazgowa analiza dusz ludzkich, pewna nieudolność w ekonomii dramatu, zamiłowanie w typach słabych, patologicznych i rozstrojonych nerwowo, nieco mieszczański fundament, krępujący swobodny polot myśli i radykalną energią czynu, — oto właściwości występujące również w późniejszych utworach znakomitego pisarza. Ale jak piasek dyamentowy zamienia gruby i brudny materyał w kamień błyszczący najczystszej wody, tak doświadczenie, rutyna i krytyka starły z Hauptmannowskiego talentu twardą skorupę i bezkształtną masę w harmonijniejszą ułożyły całość. „Święto pokoju“ i „Samotni ludzie“ to dwa słupy graniczne, świadczące o potężnej ewolucyi dramatycznego artyzmu, chociaż tu i tam biją ze sceny dźwięki i barwy pokrewne.

W świecie małomieszczańskich, konwencyonalnych i prawomyślnych filistrów spotykamy „Samotników“ poety: Jana Vockerata i studentkę Annę Mahr. Pierwszy jest członkiem rodziny, która go najczulszą otacza opieką, ale milionem przesądów i dogmatów wiąże ten umysł filozoficzny, rwący się do wyższego lotu — tam na wyżyny, gdzie wątpić wolno i z chwałą ręką targać zasłonę, która, jak niegdyś w Sais, kryje tajemnicę bóstwa i prawdy. Jak skalne kolosy przygniatające mitycznych Tytanów, ciąży już w wiosennych latach na umyśle Vockerata małoduszny despotyzm rodziców. Młodość jego to bezustanna walka z tą fanatyczną wiarą, która pragnie myśl swobodną oprawić w ramki tradycyonalnych formułek. Duch filozofa buntuje się przeciw rodzicielskiej powadze, ale wola jego gnie się jak bryła wosku miękkiego. Myślą przewyższa mędrzec otoczenie swoje, ale energią sprostać nie umie opiekunom twardym. I oto korzy się młody Vockerat przed rodzicielską potęgą, z dnia na dzień skrzydła rozpostarte do lotu zwija potulnie i w poczuciu klęski bezustannej, w poczuciu własnej nikczemności, która z wyżyny idei w proch konwenansu go strąca, szepce tylko apatycznie: „Kto zawczasu nie umie sobie z rodzicami poradzić, nie poradzi sobie później i z życiem“.

Zbliża się koniec tragedyi umysłowej, a początek tragedyi scenicznej. Starzy Vockeratowie postarali się dla ukochanego syna o małżonkę odpowiadającą małomieszczańskiemu ideałowi. Skromna, milutka, skrzętna, bogata, — oto marzenie przeciętnych ojców i matek, — taką jest Katarzyna, żona filozofa, którego duch, wykąpany w krynicach wiedzy, znajduje w małżeństwie nowe kajdany, nowy kamień piersi przygniatający. To małomiejskie dziewczę widzi w mężu swoim, podobnie jak żona dr. Scholza z „Święta pokoju“, tylko dziwaka — fantastę; posępny dramat, rozgrywający się w duszy jego głębinach, jest dla niej księgą zamkniętą, — kocha go po swojemu, ale płynąć z nim w tajemniczą dal ducha nie umie. Ona pragnie być kapłanką domowego ogniska, jego pieszczotą, gospodynią, samicą wreszcie, pragnie szczebiotać, królować w salonie i być kobietą — „aniołem“ małżonka swego, ale na przepastnych drogach błąkającej myśli tam on samotny, tam powiernicy i przyjaciółki nie znalazł.

Z takiego stosunku wyłania się nowa kolizya dramatyczna. Między mężem a żoną zjawia się upiór wzajemnej nieufności i pogardy. Jan Vockerat widzi w małżonce swojej sojusznicę rodziców i cierpi i nienawidzi nieomal. Wtedy to w progi domu wstępuje Anna Mahr, studentka — kobieta wyższego zakroju ducha, istota o granitowym harcie moralnym, typ twardy, ostry i bezwzględny, owo Ibsenowskie „robustes Gewissen“. Gdyby przeznaczenie zbuntowaną myśl filozofa spoiło z stalową energią Anny — wtedy bohaterem dra-

---

1)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI MAURYCEGO ZYCHA.

Wieprzowody, 4 października.

Kochany Janie w Oleju! Upoważniam Cię niniejszem do zawiadomienia najpiękniejszych i najbardziej tkliwych warszawianek o tem, że mogą już szlochać po mnie, rujnować w przystępie rozpaczy kunsztowne koafiury na głowach i rozdzierać na łonach łabędzich staniki, tudzież gorsety, (których by nawet za psie pieniądze handlarze podwórzowi nabywać nie chcieli), — skończyła się bowiem i pogrzebaną jest na długo moja piękność cywilna. Kędziory à la Absalon ostrzygłem przy samej skórze, zwłokłem ze siebie dostojny garnitur w popielate prążki, wykwintny krawat, obywatelski kapelusz, bajeczne prawie pod względem śpiczastości kamaszyki, wszystko jednem słowem, co cztery miesiące temu, z tyle forsownym ekspensem wymowy, zdołałem wyłudzić na kredyt od największego w tych czasach idealisty, pana Lejzora Klamki. Członki moje spuszczono w głębinę wańtucha, rozszczepionego w kształcie nogawic, pierś zapięto na haftki, w mundur, wiotką kibić ściśnięto pasem skórzanym, delikatne stopy umieszczono w butach, przypominających (co do rozmiaru) lekkie armaty polowe, w butach rzeczywiście niezwykłych, które zresztą bez wielkiego natężenia mięśni dolnych kończyn mogę przenosić z miejsca na miejsce, a głowę przykryto okrągłą czapką bez daszka, lekką jak spódniczka baletnicy. Strój ten cokolwiek za mocno śmierdzi jeszcze dziegciem i kwasem karbolowym, a te zapachy osłabiają siłę i tęgość mojego ducha, pogrążając go w przemijające, prawda, niemniej wszakże bolesne złudzenie, że jestem aptekarzem. Karabin na ramię, tornister na plecy i — „w o f r o n t“!

List Twój odebrałem na dwa dni przed wyjazdem do Wieprzowodów, (czy Wieprzowód, a najwłaściwiej: — do miasta W i e p r i e w y w o d y). Niepotrzebnie zawracasz mi głowę namawiając do wstąpienia na medycynę w tej Warszawie. Mówiłem Ci już, — no, milijon, nie milijon, — ale co najmniej dwadzieścia razy, że mam abominacyę do krajania przegniłych trupiąt, że muszę odsłużyć wojskowość, jeśli chcę wyjechać za granicę i otrzymać paszport, że wreszcie umiejętności cesarsko-warszawskie już mi się nosem i uszami wylewają. Chcę być mechanikiem, chemikiem, czy tam technikiem, a czegóż ja się nauczę w waszej budzie? Uczęszczania na maskarady ze szpadą u boku? Wolę defilować ze „sztykiem“ u boku, bo przynajmniej raz na zawsze pozbędę się obowiązku służenia w wojsku, coby mię w każdym razie czekało po ukończeniu studyjów. Takie są moje pozycyje. A ty znowu swoje....

Teraz już klamka zapadła.

Coprawda, kiedy nadeszła decyzya generała korpusu, zezwalająca na moje wstąpienie w szeregi obrońców wielkiej ojczyzny, serduszko mi się ścisnęło... Ale ponieważ jeden z pierwszych artykułów katechizmu żołnierskiego nakazuje zachowywać wszędzie i zawsze wygląd rzeźki i dziarski, zmuszam tedy ciągle do rzeźkości mojego ducha. Co będzie, to będzie! Zdaje mi się, że jedyną moją przyjemnością w tym grodzie stanowić będzie odczytywanie Twoich listów. Masz tedy pisywać obszernie, przytomnie i rozsądnie. Masz wysyłać pocztą książki, jakich zażądam. Koszta zwrócę. Masz w swem prześmiergłem trupami sercu zachować niezajęte l o g e m e n t, jakie mi się z prawa należy, jako staremu koledze i druhowi.

Twój
M a u r y c y.
Junkier 43 Astrachańskiego pułku piechoty.

*

10 października.

Nie otrzymałem odpowiedzi na list wysłany stąd przed kilkoma dniami, zaczynam jednak drugi w nadziei, że zdołasz oderwać się od skalpeli, aby napisać słów parę. Takie tedy jest położenie. Wieprzowody, jak świadczą

stałby się olbrzym. Gdyby w miejsce pomej Katarzyny złączyły śluby małżeńskie żelazną studentkę z Vockeratem miękkim, wtedy ten orzeł skrępowany wzniósłby się w błękity. Na chwilę zdaje się nawet, że pękną kajdany. Filozof poznaje w Annie idealne dopełnienie własnego indywidualizmu i wyciąga ku niej ramiona z okrzykiem „Zbawicielko moja!“ Ona schyla się ku niemu, podnosi z prochu niewolnika rodziców i własnej bezsiły — Vockerat rośnie, potężnieje, — chwila jeszcze, a prysną okowy. Lecz długoletnia tyrania zanadto zgarbiła i z siły męzkiej wyzuła ten charakter nerwowy, wrażliwy i miękki. Przywykł do jarzma rumak młody i chociaż rwie się do stepu, gdzie rżą dzikie, nieokiełznane źrebce, wabiące w gaj swobodny smutnego towarzysza, on na rozkaz pana pokornie wraca do stajni i pługa. Minuta bolesnego wachania i walki, a potem Jan Vockerat znów w prochu się tarza, gardząc sobą, gardząc własną bezsiłą i upokorzeniem. „Du bist noch nicht der Mann den Teufel festzuhalten“ — mówi mu Anna. Cóż? słowa jej pala, jej oczy nęcą, ale żadne magnetyczne zaklęcie w stal nie zamieni mędrca skruszonego. Studentka spłoszona surowem „Quos ego“ stanego Vockerata opuszcza dom filozofa, a gdy i to słońce ukochane błysło i zgasło bezpowrotnie, wtedy Jan w nerwowym paroksyzmie rozpaczy zdobywa się na ostatni krok samodzielny i śmierć znajduje w nurtach jeziora. Samobójstwem pragnie poeta ocalić dramatyczność postaci. Czy ją ocalił? Wątpimy.

Jest w literaturze niemieckiej jeden typ wspaniały, przypominający tragedyą życia swojego i pewną chwiejnością charakteru młodego Vockerata — to Uriel Acosta. Starcie swobodnej myśli i skamieniałego dogmatyzmu stanowi również oś dramatyczną utworu Gutzkowa, na żyd-filozof z piętnem romantycznej niemocy na czole ugina się przed stróżami Talmudu i tylko w uszach dźwięczą mu słowa kochanki

> Zieh in die Welt mit mutigem Vertrauen,
> Bekenne deine Wahrheit wie ein Held!

On dźwignąć się nie umie z strasznego pogromu i kulą pistoletową mózg sobie rozsadza. Podobieństwo uderzające. A przecież Uriel tragiczną nas przejmuje grozą — Vockerat litość tylko i pogardę budzi. Ani Gutzkow ani Hauptmann bohaterów swoich nie wykuli z bronzu, ale Uriel walczy, upada, zrywa się, szamocze; Uriel się łamie w Laokonowych zapasach, Uriel króluje nad otoczeniem swojem, a Vockerat staje przed nami bez kości, bez siły, tak słaby i zniewieściały, że postać ta nietylko nie pociąga ku sobie, lecz budzić przestaje żywszy interes publiczności. Dawny postulat, aby bohater dramatyczny szturmem zdobywał sympatye widzów skreślono słusznie z estetycznego katechizmu, ale niezmiennym warunkiem dramatyczności typu pozostaje pewien zasób siły moralnej, pewna energia, która w konflikcie tragicznym czynną odgrywa rolę. Vockerat to natura bierna, która w chwili podniesienia kurtyny nie posiada już żadnych nieomal kwalifikacyi bojowych, jego bunt jest zawsze jak błysk ostatni gasnącej lampy, jego protest bolesny to muzyka gorzkich lamentacyi, nie czyn, nie akcent silniejszej energii.

A Uriel nadto góruje nad całą zgrają rabinów, nad de Santosem, Ben Akibą i de Silvą nawet, Vockerat natomiast nie występuje w majestacie królewskiej potęgi geniuszu, chociaż każdy z nas czuje intencye poety i gwałtowne wysiłki, aby bohatera swojego w olbrzyma myśli zamienić. Hauptmann — samouk nie rozwinął własnego umysłu w kierunku filozoficznym i ztąd ta bladość mędrca „samotnego“. Nie ma w Vockeracie głębi filozoficznej, bo głębi tej nie ma w samym autorze, a uszczerbku tego nie zastąpi surogat najdokładniejszej analizy psychicznych wibracyi, „Samotnym“ czuje się delikatny umysł Vockerta wśród grubej pospolitości rodzinnego domu, ale wrażenie osamotnienia spotęgowałoby się niezawodnie, gdyby oprócz różnic estetycznej natury przemówiły do nas jaskrawe kontrasty duchowe, gdyby ten Hauptmannowski filozof, opromieniony blaskiem niepospolitej umysłowości, królował wyniośle ponad całem otoczeniem swojem.

Szkoda mi tej chybionej postaci! Cieniem kładzie się na utwór, dysonansem dzwoni w dramacie, a mimo to nie wacham się ani chwili zaliczyć „Samotnych ludzi“ do pierwszorzędnych utworów nowoczesnej literatury niemieckiej. Obraz życia rodzinnego w domu Vockeratów wyrasta przed nami do wyżyn arcydzieła. To już nie fotografia martwa, lecz utwór genialnego pędzla, ożywiony dojrzałym subjektywizmem mistrza i pozbawiony balastu drobiazgów, reflektowanych na umysłowe klisze poety. Hauptmann koncentruje twórczość swoją i przepuściwszy nagromadzone szczegóły przez sito krytycznego artyzmu ukazuje nam fizyonomie wyrazistsze, kompozycyą zwartą i akcyą nie hamowaną tłumem detalicznych kresek, światełek i plamek. Począwszy od twardych, krwistych i zdrowych Vockeratów starych, a skończywszy na Katarzynie, opromienionej poezyą młodej gosposi, i niezrównanym typie artystycznego leniwca malarza Brauna, — wszystko to żyje ludzkie i prawdziwe w zapleśniałym świecie kłamstw konwencyonalnych. Szary i ciasny ludek lilipuci, zasłuchany w muzykę nerwów młodego Vockerata snuje się na scenie w bezradnej niemocy. W domowej filistrów apteczce na takie bóle nie ma cudownego środka, i ginie pacyent wśród rumianków, kataplazmów i zażegnywań lekarzy swojskich. Przedziwny łańcuch przyczyn i skutków, przedziwny szereg wstrząsających obrazów! A ponad całym tym światem wznosi się ta żelazna kobieta, w której pani Hohenfels nic innego nie widzi, krom guwernantki kokietującej, — ta wielka, subtelna, nieugięta Anna Mahr, — ta „samotnica“ potężna. Jak świetny meteor olśniewa oko zdumione i ginie bez śladu. Nikt jej nie pojął, nikt nie odcyfrował tajemnic duszy — nawet on. Ostatnie słowo zagadki unosi z sobą, a za nią pustka i śmierć.

Dr. Władysław Rabski.

Z niwy powieściowej.

Walter Siegfried: — Tino Moralt.

Kto z nas nie wsłuchiwał się w czarowne dźwięki pierwszej części E-moll koncertu C h o p i n a? Na samym wstępie majestatyczny pochód wielkich, pełnych tonów, płynących śmiało, „r i s o l u t o“ aż do akordu, w którym poraz pierwszy odzywa się to wszystko, co treść duszy wielkiego pieśniarza naszego stanowi: namiętna rządza wyrzucenia w jednym jęku tych bólów, w których zrodziciby pragnął dziecię duchą swojego, rozpaczliwa dla ideału tego miłość i żałosne pytanie, azali zrodzić go zdoła. Pytanie to dźwięczy dalej w kilku smutnych, zwiątpienia pełnych pasażach, stłumionem zostaje na chwilę przez krótkie doraźne okrzyki buntu i rozpływa się w rzewnej, tęsknej skardze. I znowu bunt, dawna wątpliwość, postanowienie podjęcia ostatecznej próby, którą jest — „c a n t a b i l e“. Ten ideał Chopina, to jego własna, nigdy nie zaspokojona tęsknota, — tęsknota, stanowiąca integralną część wszystkich jego uczuć, atmosferę, w której rośnie i rozwija się cała jego indywidualność. Uplastyczniona musiałaby mieć — według słów P r z y b y s z e w s k i e g o — przejrzystą, anemiczną cerę suchotnicy, — smukłą, wiotką postać o tem niezrównanym wdzięku, właściwym potomkom starych rodów arystokratycznych, a w oczach nadmierną inteligencyą, znamionującą dzieci, którym mądrość ludowa krótkie przepowiada życie.

Tęsknota taka żyje w każdej niemal wielostronnej duszy artystycznej. Sama w sobie, bez względu na zewnętrzne, — dodatnie lub ujemne — warunki rozwoju artysty jest owem

---

wszystkie podręczniki geografii, jest to miasto powiatowe w gubernii siedleckiej. Z natury rzeczy wynika, że takie miasto posiadać musi naczelnika, powiatu, popa, księdza katolickiego, rabina, wielką ilość „knotów“, czyli referentów, kontrolerów, poborców, oraz zwyczajnych kancelistów w dziurawych butach i z wielkiemi gwiazdami na czapkach. I tak jest w istocie. Kwiatem, ozdobą i żywiołem miasta są oficerowie, i nie chwaląc się, żołnierze. Zastanów się nad tem, o rozprówaczu umarłych, coby się stało na świecie gdyby pewnego pięknego poranku zabrakło w ogóle oficerów i żołnierzy. Nie będę cię straszył skutkami ogólnemi i powiem krótko, co by się stało w Wieprzowodach. Po prostu dlaby mieście tak pięknem tyle obiecującem upadłoby i roztłukła się na drobne kawałki cywilizacya. Zostałoby kilkuset ogłupiałych drobnomieszczan, trzy razy tyle żydów, nie należących do żadnej klasy społecznej, garstka niewiast, których nazwiska wymieniać nie będę przez wzgląd na anielską niewinność Twej duszy, — i rumy. A teraz, dzięki Bogu, miasto jest pełne, kwitnie, że tak powiem, przemysł i wre handel. Instytucye użytecznosci publicznej, począwszy od pierwotnych i sielankowych nieco szynków, a kończąc na knajpach, w zupełności odpowiadających swemu celowi rozweselają umysły mieszkańców, w magazynach strojów damskich siły miejscowe produkują wielką ilość turniur nieznanych zupełnie co do kształtu i wielkości żadnemu z miast Europy, powstają hotele, koszary, cerkwie i tylko patrzeć, rychło ukażą się instytuty wesołości publicznej z zakresem szerokim, zupełnie odpowiadającym wymaganiom ludzi kultury.

Miasto leży w kotlinie, otoczonej niskiemi wzgórzami nad melancholijną rzeczułką.

W rynku głównym stoi kolosalna cerkiew, przerobiona umiejętnie ze starego klasztoru chytrych jezuitów. Jest to gmach z ciosowego kamienia w stylu czysto gotyckim. Posiadał niegdyś dwie wieże wysmukłe i strzeliste. Wieże te poutrącano u góry, a na ich szczytach postawiono niewymownie efektowne, złocone kopuły bizantyjskie. Na przeciwnym końcu rynku leży w gruzach drugi zabytek ultramontanizmu, były klasztór dominikanów, a może nawet samych benedyktynów.

Wieża tego trupa znudziła się już dawno wyczekiwaniem na reperacyę i zleciała. Stos gruzu zasypał bramę w wysokim murze, okalającym to gniazdo mnisie, i część rynku. Trochę rumowiska podgarnięto, część koła wozów wgniotły w błoto, a reszta leży oczekując na rozpadnięcie się całego gmachu. Sklepienie kościoła jeszcze stoi. Wysoko, w kątach śmiałych ostrołuków ścielą sobie gniazda jaskółki i kawki, a w przedsionkach i zakrystyach znajduje schronienie ta właśnie kategorya kobiet, nazywaniem której nie chcę obrażać Twych uczuć barankowo-niewinnych. Najpryncypalniejsza z ulic miasta podnosi się łagodnie w górę i prowadzi do kościoła parafijalnego. Na rogu tej ulicy i rynku, tuż obok talerzyków kołyszących się wiekuiście nad zakładem felczerskim pana Jojny Baszmakowa (słyszał kto coś podobnego? — Baszmakowa!) mieści się pierwszorzędna restauracya, utrzymywana od niepamiętnych czasów przez rodzone siostry — Alinę i Angelą Kupferschmidt. Tam właśnie odżywiam mój strudzony mustrami organizm. Jestem w fatalnem położeniu, nigdy bowiem jednej z tych starych Niemek odróżnić od drugiej nie mogę. Nieraz ogarnia mię nawet podejrzenie, że babiny w jakimś nieczystym celu poprostu jedna drugą udają. Czyż wypada mieć tak zupełnie podobne i tak małe głowy z tak misternemi rysami? Są to literalnie dwie uwiędłe cytryny, otoczone fiokami z siwiejących włosów, umieszczone na dwu suchych kadłubkach, odzianych w dziewicze, brązowe sukienki ze skromnemi tiurniurami. Na powitanie wojownika wkraczającego do „Café“ podnosi się zazwyczaj żółta twarzyczka ukryta w cieniach szynkwasu, pochyla się z figlarną kokieteryą, a usteczka szepcą z bezmyślnie dobrotliwym uśmiechem:

— G u t e n T a g, g a s p a d i n a f i c e r!...

Można tam dostać wódki, jakiej tylko organizm chrześcijański zapragnąć jest wstanie, — od najsłodszej, aż do najbardziej gorzkiej. Obiady są dobre, tłuste, z pieprzem, piwo z browaru w mieście Mordach i bardzo przednia

ogniskiem fatalnych konfliktów, mieszczącym cały tragizm bezowocnej walki danego osobnika.

— Byłaż to pieśń, poemat, obraz może, — czemżeż było to, co rosnąc jakoby bujało w duszy Moralta, tej mgle podobne, która unosiła się ponad głębinami, zanim stworzonym został świat. Była to jedna z chwil, w których jakaś tęsknota poetycka z niesłychaną, niezmierzoną siłą wypełniała całe jego jestestwo: potrzeba wyrażenia tego wszystkiego, co czuł, a czego wypowiedzieć niepodobna, potrzeba oddania słowem tych nieuchwytnych dla słowa rysów miejsca, chwili, w których przeszłość i przyszłość zlewały się dlań w jedno: w cichy dźwięk, unoszący się ze strun lutni, w miękką, nieokreśloną pieśń, słyszalną jedynie dla duszy artysty, a mówiącą bez słów o znikomości człowieka i o nieśmiertelnej, cudownej potędze przejawów ducha poetyckiego i miłości.

Poetycka tęsknota. Oto podkład duchowy, na którym wyrasta indywidualność Tina Moralta. Przez najbliższe otoczenie niezrozumiana, szuka zaspokojenia we wszystkich tych dziedzinach, które dać ją mogą. Rosnąc pod kierunkiem ojca, który był człowiekiem czynu i tylko życie czynne, zawodowe pojmował, Tino Moralt zmuszonym jest więzić w sobie nieprzezwyciężony popęd artystyczny, pokonywać niejako niepokonalną potęgę talentu. Popęd ten, w twórczości krępowany, pracuje w nim potajemnie, ze zdwojoną siłą, wysubtelnia się, jako zmysł krytyczny, a nie mogąc ześrodkować się w kulcie dla jednej gałęzi sztuki, znajduje ujście w malarstwie, literaturze i muzyce. Wewnętrzna ta gorączka, podsycana coraz żywszemi iskrami krytycyzmu, strawia całą niemal ufność Moralta we własne siły, a tem samem rodzi w duszy jego pierwsze ziarno samozwątpienia. W tej fazie psychicznej Moralt, po śmierci rodziców, poświęca się malarstwu. I słyszymy w duszy jego to wszystko, o czem mówi nam pierwsza część wspomnianego koncertu Chopina. To samo, co tam, rozpaczliwe pragnienie wyśpiewania nędzy swojej, to samo szalone rwanie się do ideału, ta sama dlań miłość, bunt i postanowienie — a jako wynik, znowu „cantabile" obraz uosabiający „Tęsknotę". Wśród krajobrazu wieczornego o porywającej potędze nastroju, w ciemnym tle krzaków — młodzian, wsparty na kamieniu, okryty ciemno-szkarłatną szatą, z twarzą bladą, okoloną czarnymi puklami włosów z wielkiemi oczami, zapatrzonemi namiętnie w jasną jakąś, niedościgłą dal... W gronie przyjaciół Moralta obraz ten wzbudza podziw, zachwyt, najwyższe uznanie. Tylko te czarne źrenice, błyszczące tak jakoś dziwnie, tak nieludzko prawie w bladem obliczu, wydają im się czemś dotychczas w malarstwie nieznanem. Ale są to oczy owej anemicznej tęsknoty, córki wielkich rodów, noszącej na sobie od kołebki już stygmat śmierci... Oczy te są odbiciem całej niespokojnej, zbolałej, stęsknionej duszy Moralta.

Artysty obraz ten niezadowala. Nie, żeby nie był wyraził w nim potęgi uczucia, które mu pierś rozpierało: włożywszy w pracę tę cały zasób sił, a będąc po dokonaniu jej również jak przedtem nieszczęśliwym, łamie w przystępie szalonej rozpaczy pędzel i paletę, przysięgając, że się już nigdy ich nie tknie. Namowy i zachęty przyjaciół nie wywierają żadnego skutku. Moralt postanawia szukać sobie odtąd pociechy w piórze. Na tem polu spodziewa się rezultatów lepszych: — zacznie od rzeczy drobnych, którym podołać potrafi, podczas gdy w malarstwie w pierwsze dzieło przelać chciał od razu wszystko, co duszę jego trawiło. Nadto, dla sztuki, mającej swe źródło w doskonałem pojmowaniu życia, jest jeszcze młodym, a właśnie przeświadczenie o zmarnowanych porywach młodzieńczych pędzel jego tak nieśmiałym, niepewnym i siły swojej nieświadomym czyniło. Przyjaciele uszczęśliwieni są z postanowienia tego, pojmując artystę, dodając mu otuchy i odwagi.

Owa pieśń bez słów, żyjąca jako tęsknota w duszy Moralta mówiła mu o nieśmiertelnej potędze przejawów ducha poetyckiego i miłości. Siły ducha swego przejawić nie umiał, miłość zawodzi go. Kobieta, którą pokochał, wyczuwszy w niej wszystkie pokrewne sobie struny, kobieta, która go rozumie, artystycznym instynktem myśli, porywy i walki jego odgaduje, jest narzeczoną innego. Jedyny punkt wyjścia Moralt widzi w samobójstwie. Lecz tu refleksyjna natura jego staje mu się wybawicielką. „Umierać nie wolno, póki dość jest jeszcze siły dla pojęcia, objęcia najtragiczniejszej bodaj sytuacyi. Burze serca zniszczyć człowieka nie powinny — mogą go powalić, skazać na cierpienia, — podnieść się jednak i żyć dalej trzeba". Produkcya jego literacka, wśród publiczności ciesząca się powodzeniem, jemu samemu zadowolenia nie daje. Brak energii i ta sama co dawniej niemożność utrwalenia natchnionych chwil w słowie, wieczny rozdźwięk między pragnieniem a zdolnością uzewnętrznia go, warunkuje i teraz tragiczny zwrot w życiu Moralta. Towarzystwo przyjaciół staje mu się przykrem, drażni, gniewa go, współczucie ich dla jego niedoli oburza, upokarza go do tego stopnia, że wytwarza w nim rządzę zupełnej samotności. Ucieka tedy od nich na odległe wzgórze szwajcarskie, obojętny na brak wszelkiego wykwintu chałupki, w której mieszkać postanawia, żądny jedynie odosobnienia, ciszy i spokoju. Czarowne krajobrazy Szwajcaryi, o miękkich, łagodnych półtonach jesiennych budzą w nim uśpioną wrażliwość malarza. Maluje w wyobraźni: skalistą przestrzeń ożywia postacią starca, który, odwiecznie żyjąc, wszystko znając w głębokich, mistycznych słowach mówi samotnemu tułaczowi, człowiekowi znikomej chwili o niezmiennych, zawsze tych samych kolejach świata; na tle zamierającego gaju, nad cichą, melancholijną wodą, wymarza piękną, smutną kobietę, o złotawo-rudych splotach, kobietę obłąkaną, która przy dźwiękach harfy śpiewa tęskną pieśń o nędzy życia i jednej, jednej tylko rozkoszy, łamiącej duszę ludzką — o miłości... Moralt widzi wokoło siebie wszystko to, co z bezlitośną siłą wpiło się w jego serce, lecz ani tych własnych bólów, ani wrażeń od otoczenia odbieranych utrwalić nie umie. Z nieudolności tej wyraźnie zdaje sobie sprawę, z rozpaczą spostrzega zanik władz umysłowych, stara się atoli podtrzymać w sobie wiarę, że samotność rozbudzi twórcze jego siły. Wiara ta jest jednak ułudą tylko. Cierpienia, dla których nie umie znaleźć ujścia, szarpią sercem i mózgiem jego, oplatają go coraz gwałtowniej zabójczą siecią melancholii, która zwolna przeszedłszy w obłęd, ofiarę swoją odbiera. Wśród napadu furyi Moralt umiera na anewryzm serca.

Tino Moralt zginąłby i w innych, korzystniejszych warunkach życia. Tęskniących takich samotników spotykamy wszędzie — wśród ludu, w życiu, w świecie muzycznym, w literaturze i w sztuce. Osobniki tego rodzaju skazane są na zagładę, ponieważ w sobie już noszą samobójczą siłę, która zniszczyć, pożreć je musi. Niemasz dla nich zbawczej przystani, zarównie jak niemasz spoczynku dla ludzi-tułaczy. Podobnie jak typ tułacki, typ „tęskniących" jest typem społecznym.

Zasługa Siegfrieda Waltera polega na tem, że tęskniącego zrozumiał i na tło życia dzisiejszego rzucił. Moralt jest człowiekiem zupełnie współczesnym, uświadamia sobie każdy stan swój psychiczny, spostrzega najdrobniejsze drgnienie swojej duszy, wie o jej znużeniu i bezwładzy. Posiada on tę inteligencyą nerwów, którą wiek nasz coraz bardziej rozwija, potęguje, bez względu na szkodę wyrządzaną gatunkowi. Inteligencya taka na podkładzie walk owarunkowanych właściwościami duszy artystycznej, wytworzyć musi psychozę. Siegfried po mistrzowsku przeprowadził analizę stanów psychicznych swego bohatera, a zadanie swe pojął uczciwie, dając nam w rękę klucz do rozwiązania zagadki, jaką dla nieje-

---

biała kawa. Apartament restauracyjny składa się z trzech pokojów. W środkowym stoi bilard. Starożytny to instrument! Jojna Baszmakow, goląc mi w tych czasach brodę — (tylko bez wszelkich śmiechów, uwag i dowcipów na temat golenia mojej brody!) — powiadał o nim dowcipnie, że na takich biłarach grywała bogata młodzież szlachecka jeszcze jak była Polska, Bóg wie kiedy, może aż za cesarza Mikołaja... Zrudniałe sukno, pokryte warstwą twardego tłuszczu, cerowały wielokrotnie pracowite ręce sióstr Kupferschmitd — i wiekowy bilard, mam nadzieję, jeszcze potrwa. Na ścianach czyściutko wybielonych wiszą niemniej wiekowe landszafty i sztychy, wyobrażające gwałtowne uściski kochanków z zakopconemi nosami, oraz nowoczesne oleodrukowe portrety panującego nam miłosciwie monarchy, jego małżonki, synów i krewnych.

Za izbą bilardową znajduje się maleńki pokoik z podłogą monstrualnie spaczoną. Stoi tam okrągły, ciężki stolik na grubej nodze i leżą na nim dwie polskie gazety: „Warszawska" i „Kuryer". Przebiegłe siostry abonują te pisma i zwabiają tym sposobem na czarną kawę konserwatystów, czytujących jeszcze po polsku, ale gorzkiem doświadczeniem nauczone, nie wystawiają druku zachodnio-europejskiego na widok publiczny w salach głównych. Zdarza się bowiem, jak mi jedna z sióstr żałośnie, a pod sekretem wyznała, że panowie oficerowie, podchmieleni usque ad finem, skręcają z arkuszów zadrukowanych psim językiem piguły i wcale nie na żarty bombardują niewinne fryzury Minny i Angeli. Opisuję Ci te szczegóły, chcę bowiem, abyś nabrał wyobrażenia o trudnościach na jakie narażony jest w tem mieście młodzian, pragnący wynurzyć swe uczucia przed przyjacielem. W koszarach pisać nie mogę... Sądzę, że tak, a nie inaczej postąpiłby sobie w danych wypadkach mądry... „Restaurant" sióstr-niemek jest miejscem nieustannego zmywania okien i podłóg. To też ja po każdem obiedzie udaję śmiertelną obawę wilgoci i wsuwam się do dla wypicia czarnej kawy do maleńkiego pokoiku za bilardem, przymykam drzwi, wydobywam własny inkaust, papier, pióro — i smaruję. Niechże Ci się, o przyjacielu, skazany na wieloletnie noszenie dziur w butach, piana z ust nie toczy, jeżeli w notach moich panować będzie niejaka fejletonowość porządku, albo jeżeli dostrzeżesz w nich pewnego rodzaju figlarność sensu. Przysłowie mówi, że kto pisze w pokoiku za bilardem i strzyże uszami, aby snać w chytrych czynach wytropionym nie został, ten musi co chwila własne swe myśli chwytać już to za uszy, już za ogony...

Mniejsza zresztą o przysłowia, które jednak bądź co bądź są mądrością narodów.

Przyjechałem tutaj sam, przedstawiłem się rotnemu i zostałem bez zwłoki wysłany przez niego do feldfebla. Feldfebel ma duże baki, całe piersi zawieszone orderami i... najsroższe oko. Wejrzał na mnie najsroższem okiem i kazał iść za sobą. Weszliśmy do koszar. Jest to budynek długi, parterowy, zbudowany z okrągłych belek z wydatnemi węgłami, w stylu wielkorosyjskim. Czy zauważyłeś, że koszary, więzienia, szpitale i karczmy mają jakąś jedną cechę wspólną? Przypuszczam, że w zewnętrznej fizyjognomii tych budynków maluje się to, co jest ich treścią: — zatarcie śladów indywidualności i zniwelowanie człowieka do skromnej roli numeru. Prawdopodobnie gromady ludzkie mieszkać będą kiedyś w takich koszarach i, mam nadzieję, będzie im dobrze, byle by tylko instytucye czasów przyszłych nie lubowały się, na wzór obecnych, w zapachach dziegciu i siarkowodoru, który baśń ludowa tak naiwnie nazywa — ruskim duchem... Jako ochotnik nie jestem skazany na mieszkania pospołu z prostemi żołnierzami. Umieszczono mię w osobnym pokoju wraz z trzema kolegami, podobnie jak ja „zapisującemi się dobrowolnie". Pokój nasz znajduje się u wejścia do koszar. Na prawo z głównej sieni drzwi do pokoju panów ochotników, na lewo — do wielkich sal, skąd płyną echa pieśni i fale rosyjskiego ducha.

(Ciąg dalszy nastąpi).

dnego stanowi tragizm życia prawdziwego artysty.

Walter Siegfried nie należy do grupy pisarzy, których przywykliśmy obejmować nazwą „najmłodszych Niemiec“. Z „najmłodszymi“ łączy go doskonałe pojmowanie duszy współczesnej, staranne wsłuchiwanie się w tętno wieku, kult dla indywidualizmu i umiłowanie piękna. Różni się od nich — zdrowszymi nerwami. Podczas gdy najmłodsze Niemcy szukają przeważnie pojedyńczych wrażeń (sensitions), Siegfrieda zajmuje wrażeń tych synteza, całokształt fizyognomii duchowej danego osobnika, wrażenia zaś poszczególne są mu w pracy tej pomocniczem tylko narzędziem. Jako malarz — byłby plein'airzystą, posługującym się kiedy niekiedy techniką impresyonizmu. Dla tego też Tino Moralt przypomina śmiałe, poważne utwory klasyków niemieckich: niema tam dorywczych cięć, niespodziewanych rzutów, kropek, któreby nagłe urwanie się myśli lub wrażenia zdradziły. Siegfried chce i umie dopowiedzieć wszystko, co wyznać zamierzał — ztąd ciągłość, jednolitość rozumowania, które nas, przyzwyczajonych już do krótkiego, nerwowego tempa myślenia nuży czasem i niepokoi, ostatecznie jednak zachwyca i zadziwia. Dzisiaj powieść dwutomowa o tak nieposledniej, jak Tino Moralt wartości, jest zjawiskiem wyjątkowem.

Malwina Posner-Garfein.

Monach'jskie wystawy sztuk pięknych.

II.

Wystawa secesyonistów.

Czy wiecie, jak powstała secesya? Oto część monachijskiego „Künstler-Genossenschaft'u“, niezadowolona z jego kierunku, skorzystawszy w ubiegłym roku z jakiegoś nieporozumienia z zarządem, wystąpiła zeń i utworzyła własne towarzystwo pod nazwą „Secession“. — Wobec tego można się było spodziewać pewnej charakterystycznej różnicy między wystawą secesyonistów, a salonem w Glaspalaście, urządzonem przez „Künstler-Genossenschaft“. Różnica ta istnieje rzeczywiście. Polega ona głównie na tem, że secesyoniści, — a należy do nich przeważnie młodsza generacya malarzy, — dążą przedewszystkiem do tworzenia rzeczy pod każdym względem nowych, nie krępując się częstokroć uznanemi już metodami, nie dbając o gusta publiczności. — Nie rażą tu nas, jak w Glaspalaście obrazy szablonowe, widocznie obliczone na kupca; za to spotykamy wiele dzieł ekscentrycznych, czasem wprost śmiesznych.

Wchodzimy do pierwszej sali. Zaraz na lewo zwraca naszą uwagę duża grupa portretowa pędzla Herkomera. Nosi ona tytuł „Biuro dyrektorów“. Jeden z urzędników, stojąc, odczytuje coś na głos, reszta go słucha, skupiona na około stołu. Z rysów każdej twarzy, — a artysta nie pominął w nich najdrobniejszego szczegółu, — bije prawdziwa indywidualność. Tylko kontury nadto wyraziste. Naprzeciwko widzimy obrazek, z którego fantastycznej treści domyślamy się, że pochodzi z palety Böcklina. Powiadam z treści tylko, bo wykonanie „Trytona“ słabe, niegodne pędzla znakomitego malarza. O innych jego dziełach, znajdujących się teraz u secesyonistów, również wydać nie można pochlebnego sądu. Najlepszą stosunkowo jest jeszcze jego „Dyana“, śpiąca na skale, gdy ciekawie przygląda jej się dwóch faunów. Ciało jej przypomina mocno porcelanowe figurki, za to fanny są wyborne i pejzaż niezły.

Niedaleko od „Trytona“ wzrok nasz pada na duże płótno o jaskrawych barwach. To Juliusza Extera „Adam i Ewa“ pod drzewem wiadomości złego i dobrego. Patrząc na ten obraz dochodzimy do wniosku, że matka rodu ludzkiego w chwili pokusy była już nie pierwszej młodości i bynajmniej nie odznaczała się, nie mówię już pięknemi, ale prawidłowemi kształtami ciała. Nie wiele też lepiej od swej małżonki wygląda Adam, a przedstawiony obok krajobraz razi nienaturalnym kolorytem. Jest jednak jeden szczegół na obrazie, który świadczy wymownie o talencie artysty. Są to wybornie wykończone kwiaty na łące, doskonale przypominające nam naturalne. Patrząc na nie, przyrodnik musiałby przyznać, że rajska „iris germanica“ niczem zupełnie nie różniła się od teraźniejszej. Z takiemi myślami opuszczamy pierwszą salę i wchodzimy do środkowej. Zwraca tu przedewszystkiem uwagę naszą jedno wielkie dzieło, wiszące na środku sali. Przedstawia nam ono, jak surowy i ponury geniusz wojny ze zbroczonym we krwi mieczem jedzie wolno na zziajanym koniu po zasłanem nagiemi trupami polu. Wśród nocnych mroków słabo odbija się na horyzoncie łuna dalekiego pożaru. Straszne są te trupy, gnijące, zesztywniałe, z powywracanemi białkami, poplątane z sobą w jednę wstrętną masę, wśród której czerwienieją kałuże zastygłej krwi, sterczą konwulsyjnie pozaciskane ręce. Cały obraz sprawia nadzwyczaj przykre wrażenie, choć ze względu na wyborne wykończenie i prawdę w oddaniu trudno mi było oczy od niego oderwać. „Wojna“, — taki bowiem tytuł nosi to dzieło — wyszła z pracowni Franciszka Stuck'a i należy bezwątpienia do najbardziej interesujących i najlepszych utworów na wystawie secesyonistów. Jak słyszałem obraz, ten nabyła już drezdeńska galerya.

Tuż obok „Wojny“ wisi płótno Ludwika Herterich a, pod tytułem „Zmrok“. Przedstawia ono młode dziewczę, grające na spinecie przy wieczornym zmierzchu. Obraz ten mało pozostawia do życzenia, a szczególniej może imponować doskonałym rysunkiem. W tejże sali musimy jeszcze zatrzymać się przed obrazem Heinricha Zügela, który dwoma utworami, o podobnej zupełnie treści, prawdziwie przyozdobił wystawę. Widzimy na obydwóch stado owiec, pasące się w pogodny dzień słoneczny pod opieką psa. Z bladego nieba letniego bije skwar południowy, owce, oddane jak żywe, skubią młodą trawkę, ale najwyborniejszym jest, szczególniej na jednym z obrazów, pies o znakomicie uchwyconym ruchu. Stoi on, nastawiwszy uszy, zapatrzony gdzieś uważnie: za chwilę zapewne rzuci się naprzód i zaszczeka.

Ładną jest Volza „Święta Cecylia“, grająca na organach przy akompaniamencie orkiestry z aniołów złożonej, mnie się jednak więcej podoba cokolwiek po balowemu przystrojona Königa „Madonna“ z wdzięczną nadzwyczaj twarzyczką. — Schroeter wystawił dobry obraz rodzajowy, przedstawiający matkę ze śpiącem niemowlęciem i dwie bawiące się ubieraniem lalek dziewczynki z doskonale scharakteryzowanemi twarzyczkami. Wyborną charakterystyką twarzy odznacza się też impresyonistycznie pojęty obraz Samuela Hirszenberga z Łodzi, przedstawiający polskich żydów, obradujących przy stole, przy żółtym świetle łojówki. Polskiego żyda, być może trochę szablonowego, spotykamy też na dużym obrazie Herkomera, gdzie artysta przedstawił emigracyę, płynącą na angielskim okręcie do Ameryki. Lepszym od żyda jest tam polski chłop w czapce wojskowej, karmiący swą chorą żonę z wyrazem prawdziwej troskliwości w oczach.

Dobrym rysunkiem oraz wydobyciem dużej ilości powietrza odznaczają się rodzajowe obrazy: Jana van den Eeckhout „Uczta biedaków“ i Ulricha „Szkoła haftu“. Dobrze też narysowany jest przędzący w ciasnej izdebce włościańskiej „Tkacz“ Wacława Szymanowskiego, którego ujemną stronę stanowi zbyt brudny koloryt. Do najlepszych pejzaży zaliczyłbym Selzam'a wnętrze lasu we wczesny poranek słoneczny, w którym jak całość, tak i szczegóły są doskonałe. — Schoenleber'a wybornie oddana woda morska, roz-

---

JERZY BRANDES.

UCZUCIE NARODOWE.

(Mowa wygłoszona przy poświęceniu nowego gmachu wolnomyślnego związku studenckiego w Kopenhadze w dniu 1go lutego 1894. roku.)

Tłom. **W. R.**

(Ciąg dalszy).

Wobec tak bolesnego wrażenia nie było szczerego dźwięku w tych wszystkich zachwytach nad duńską ojczyzną, które ujawniały się w oficyalnych piosnkach klubowych. Radowało się każde serce, gdy las bukowy zaszumiał lub blask księżycowy nasz Sund i Belt opromienił, radowało się nad laurem wojennym, który Danję uwieńczył w zamierzchłej przeszłości i nad wawrzynem zdobytym niegdyś lub dziś w literaturze i sztuce, ale wnet zjawiało się gryzące pytanie: w jakim my prądzie żyjemy? Czy prąd ten w górę nas wznosi, czy też w dół nas strąca?

Charakterystycznem jest, że największy liryk ziemi naszej, którego okrzyk: „Niech żyje Danja!“ najgłośniej rozbrzmiewał, — który nawet przez pewien czas w ton wiwatowy jedynie uderzał, — wyśpiewał przed kilku laty swoją miłość ojczyzny w zaniedbanej nieco pod względem formy, ale znakomitej książce „Zaprzedany“*) — to znaczy szatanowi zgubie zaprzedany; treść tej książki równa się tytułowi broszury zmarłego Oldenburga: „Rozkład nasz wzrasta, — spełnił się nasz rozkład.“

Słowo „Na śmierć skazany“ cisło się na usta najzdolniejszego, a z natury najoptymistyczniejszego poety.

Wiadomo wszystkim panom, że Europa zwróciła obecnie uwagę swoją na północne, skandynawskie życie duchowe i literaturę jego. Wiecie jednak niezawodnie, że z literatury trzech narodów duńska zjednała sobie w Europie najmniejszy szacunek. Szwecya i Norwegia uderzają Europę wyrazistemi konturami literackiemi — Le Danemark s'efface,

W ostatnich latach zyskało rozgłos Strindberga nazwisko: wydał on jedno i drugie w języku francuzkim, a później postarało się kilku za granicą mieszkających Szwedów, aby zwracać na niego uwagę europejskiej publiczności nieustającą krytyką i reklamą.

Mianowicie jednak Norwegczycy wyparli zpola Duńczyków w europejskim wyścigu. Ibsena nazwisko zwyciężyło i wydobyło na wierzch niezliczone inne nazwiska norwegskie. Ibsen nie był tak szczęśliwym jak ziomek jego Grieg, który w młodym już wieku zyskał rozgłos światowy. Sława wielkiego poety rosła powoli.

W r. 1872 przetłomaczono z mojej inicyatywy pierwsze prace Ibsena na język niemiecki. Później Duńczyk pewien, prof. Hoffory w Berlinie, zjednał w połączeniu z kilku przyjaciołmi niemieckimi, Ibsenowi taką sławę w Niemczech, jakiej sam geniusz jego nie byłby nigdy tak szybko uzyskał, a może za życia wogóle nie zdobył. Z Niemiec rozniesli cudzoziemcy po całym cywilizowanym świecie sławę jego, która wciąż rosła i rosła.

W Ibsenowskiem korycie popłynęli później inni norwegscy poeci i pisarze, zjednując sobie posłuch Europy. Norwegczycy posiadają w najwyższym stopniu sztukę zwracania uwagi obcych ludzi na swoje znakomitsze, a nawet mniej znakomite talenty. Skoro tylko Norwegczyk jaki cośkolwiek napisze, co godnem jest czytania, wnet grają bębny od przylądku północnego aż do Lindesnäs. Skoro tylko cudzoziemiec pochwali Norwegczyka, chociażby w liście prywatnym, wnet w całej Norwegii drukują tę pochwałę i setki tysięcy ludzi ją cytują, lubo nie posiada ona czasem wybitniejszego znaczenia.

Tu w Danii inne stosunki!

Wtedy jedynie, gdy duńskiego pisarza cudzoziemiec zaczepi, — wtedy nawet gdy zaczepka jest nonsensem, a napastnik miernotą,

*) Romans Holgera Drachmanna: „Zaprzedany“. (Przyp. Tłom).

bijająca się białą pianą o skaliste wybrzeże, pejzaże Riemenschmida i Koeniga. Z olejnych portretów, a mniej ich tu jest niż w Glaspalaście, oprócz wymienionej już grupy Herkomera, zwracają na siebie uwagę: Lambergera „Portret własny, który, jak dodatniemi tak ujemnemi stronami przypomina nadzwyczaj Lenbachowskie dzieła, dalej portrety Goltza i Dürra.

Co się tyczy tego ostatniego, to przyznam się, że prawdopodobnie, gdyby nie wskazówka katalogu, nie domyśliłbym się, że dzieło jego jest portretem, gdyż obok niewyraźnej zupełnie postaci niewieściej większą część obrazu zajmują po mistrzowsku wykonane jabłka. — Oglądając olejne obrazy tu i owdzie spotyka się płótna, które tak rażą ekscentrycznością pomysłu lub wykonania, że jury z Glaspalastu ani na chwilę nie zawahałoby się z odmówieniem im miejsca na swej wystawie. Tak n. p. na jednym obrazie spoczątku dostrzegamy tylko szarą plamę na zielonem tle. Przyjrzawszy się uważniej, dochodzimy do wniosku, że owo tło to wierzchnia część koron u sosny, a plama na niem to jakiś ptak, prawdopodobnie głuszec. Na innym obrazie tego samego artysty (Liljenforsa z Upsali) widzimy znowu parę pstrych plam zielonych na białej przestrzeni: — to lis, broniący się wśród śniegu od napadu psów. Tak zwana „naiwność w wykonaniu“, przypominająca trochę dziecinne gryzmolenia, została również tu zastosowaną przez kilku artystów, szczególniej przez Leona Frederic'a z Brukseli („Nicość ziemskich wielkości“ i „Pozdrowienie anielskie“). Dział akwarelowy i pastelowy reprezentuje się u secesyonistów stosunkowo daleko lepiej niż w Glaspalaście. Mamy tu cały szereg wybornych akwarel Arthura Melville, Waltona i Hermana. Jest w niektórych z nich widoczną dążność do wydobycia natury przy użyciu jak najmniejszych środków. Wśród pasteli do najlepszych należą dwa portrety Olgi Boznańskiej, przedstawiające mężczyznę i kobietę naturalnej prawie wielkości, a odznaczające się poprawnym rysunkiem jako też eleganckiem wykończeniem. Doskonały też jest rysunek pastelowy Grocholskiego: Główka zmarłej dziewczynki. Sztuka rzeźbiarska słabych ma reprezentantów na wystawie secesyonistów. Jest tu tylko około dziesięciu rzeźb, a z nich żadna nie zwraca na siebie szczególnej uwagi.

J. O.

Monachium, 18-go czerwca.

Sylwetka Ouidy.

W poczytnym amerykańskim przeglądzie „the Californian Magazine“ znajduję między innemi ciekawemi artykułami interesującą sylwetkę słynnej autorki „Strathmore'a“ i „Chochlika“. Głuche tylko wieści o życiu utalentowanej powieściopisarki, a oryginalnej kobiety, przedostawały się do polskich zwłaszcza czasopism, aczkolwiek wielbicieli talentu Ouidy u nas liczyć można na tysiące. Przesyłam zatem przekład tego szkicu, który wyszedł z pióra Karola Robinsona, znanego literata amerykańskiego:

Blada, o męzkich rysach twarz autorki nosi zwykle wyraz smutku i przygnębienia, a wielkie szare jej oczy spoglądają bez życia i interesu. Bujne, jasne włosy z odcieniem popielatem, spadają luźno na ramiona, a wieść niesie, że służąca jej kilka godzin dziennie nad niemi trawi, perfumów zaś, których używa, kosztuje 120 marek uncya. Zawsze trwoniła pieniądze na stroje. Mianowicie ceni wysoko wspaniałe sobole, które darował jej jeden z wielbicieli, Rosyanin. Dalej kocha się w swym zbiorze starych, rzadkiej wartości koronek, które skupuje przy każdej sposobności. Posiada niemniej ogromną kolekcyą bucików najprzeróżniejszych stylów, wszystkie wykonane artystycznie, aby uwydatnić należycie jej wysokie przegubie. Nawet rękawiczki każe robić na obstalunek.

Ouida sili się odróżniać od konwencyonalnego towarzystwa swem oryginalnem zachowaniem, tak jak stara się razić je swemi pismami. U siebie, w domu, pije koniak i pali papierosy, a co więcej, gości swych przyjmuje często bardzo niegrzecznie.

Ludwika de la Ramée — aby przytoczyć właściwe jej nazwisko — ma około 53 lat, urodziła się w Bury St. Edmonds w hrabstwie Suffolk w r. 1840. Ojciec jej był emigrantem francuzkim, osiedlonym w Anglii. W młodym wieku przybyła z matką do Londynu i jako młode dziewczę rozpoczęła karyerę literacką pod pseudonimem Ouidy. Mając zaledwie lat 10 napisała swoją pierwszą powieść „Granville de Vigne“, która wyszła drukiem dwa lata później (63) pod tytułem „W pętach“.

Od lat 20 Ouida mieszka pod Florencyą w willi, należącej niegdyś do jednego z rodziny Medycyuszów. Pracownia jej urządzona jest artystycznie; ściany malowane starożytnemi włoskiemi freskami rzadkiej piękności. Wzdłuż tychże zagłębienia, w których mieszczą się stoliki z wazonami kwiatów. Przed kamiennym kominem niesłychanej wartości perski kobierzec, na którym często leży i marzy — i częstó płacze w ekstazie wzruszeń. Znajduje się tam wykwintny ołtarzyk z statuą Madonny, przed którą nieustające pali się światło, a okoliczność ta w połączeniu z faktem, że kiedyś częste oddawała wizyty w pobliskiem Fiesole „Czarnemu papieżowi“ (tak nazywano ostatniego przewódzcę Jezuitów, ojca Anderledy) w celu dysputowania o teologii, pozwolała się domyślać, że zamierzała przejść na łono kościoła katolickiego.

Pomiędzy ukazaniem się jednej a drugiej książki upływa około 2 lat, a natchnienia do powieści szuka w ciągu długich wycieczek. Obecnie jednak nie pracuje tak szybko jak dawniej, rozpoczyna pisać o piątej rano. Lecz nie znaczy to, aby rzeczywiście siadała i pisała. Nie, jedynie medytuje nad swym tematem do powieści, chwyta zaś za pióro dopiero wtenczas, gdy przyjdzie jej natchnienie. Nigdy nie pisze przy stole; siada w nizkiem krześle z kałamarzem przed sobą, bibułą na kolanach, karty manuskryptu zaś rzuca na podłogę. Każda strona zaledwo kilka zawiera słów tak nadzwyczajnie wielkie stawia głoski swem gęsiem piórem.

Ouida jest niezmordowaną w chodzeniu, a we wszystkich wycieczkach towarzyszy jej zgraja psów najprzeróżniejszej wielkości i gatunku, począwszy od psa z góry Św. Bernarda, aż do małego maltejskiego pokojowczyka, o którym opowiada wiele nadzwyczajnych i nieprawdziwych historyi. Gdy który z towarzyszy zdechnie, chowany jest z wszelkiemi honorami i pompą.

Widzieć ją można często, przejeżdżającą wzdłuż brzegów Arno w oryginalnym otwartym powozie, wykładanym atłasem złotem haftowanym, do którego zaprzężona para koni uderza w oczy dziwaczną czarno-srebrną uprzężą. Mimo to unika w ogóle towarzystwa, zamknięta samotnie z swą wierną starą służącą, którą od najdziemy jako „Cigarette“ w powieści „Pod dwoma sztandarami“.

Ouida nie ma zwyczaju podawać ręki, uważając to za najpospolitszą formę witania się. Jak tylko wejdzie do pokoju, siada i nieruszą się aż do chwili odejścia. Ktokolwiek chce ją przywitać musi zrobić tak jak Mahomet z górą, a w żadnym razie nie pofatyguje się ona zmienić pozycyą, lub powstać na powitanie.

Jedyną kobietą, która wzbudza zazdrość Ouidy jest Rosa Bonheur. Mary Anderson zaś, aktorka angielska, zdaje się być jej bête noire. Amerykanów nie znosi. Gdy raz pewna amerykanka gwałtem prawie wcisnęła się do niej, Ouida wyznała jej, że

---

publikuje się zdarzenie w pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy.

To pokolenie, które w ósmem i dziewiątem dziesięcioleciu dążyło ku temu, aby podnieść ogólną świadomość Danii, a przez to samo jej literaturę piękną, w której groźny pojawił się zastój, napotkało natychmiast wstręt nieokiełznany w swych zewnętrznych formach. Na gruncie nagim musiano rozpocząć budowę.

Kto czytał artykuły ton nadających czasopism duńskich podczas niemiecko-francuzkiej wojny, — kto je czytał za granicą z pewnem przeczuciem tego, czem wonczas była Europa, ten zrozumie to słowo moje: „grunt nagi“. Nie zachwytem lecz zgniłemi jabłkami przywitano później uznane talenty jak Jacobsena, Drachmanna, Schandorffa.

Tylko entuzyazm młodzieńczych duchów mógł się pokusić o budzenie ruchu umysłowego wśród ówczesnych zgniłych stosunków, a nadto pewien stopień woli i wytrwałości ten rozwinąć musiał, kto wobec potentatów ojczystych nie chciał czoła uchylić pokornie. Prasa, — i to cała prasa — zamknęła łamy swoje dla młodych pisarzy. Znam pewnego literata, który w r. 1872 zamieścił ostatni swój artykuł obronny jako płatny anons w jednem z czasopism duńskich i któremu następnie przez całe lat 9 żaden z organów pracy codziennej łamów swoich nie otworzył, aby mu broń przeciw spadającym jak grad napaściom wytrącić.

W tym samym okresie, w którym wzrastał literacki rozgłos Norwegii, starali się Duńczycy jedynie o to, aby zniesławiać te nieliczne duńskie utwory, które śmiałością swoją zjednywały sobie zagraniczną publiczność. Duńczycy utrudnili zbyt literatury swojej w obrębie kraju i według sił ubijali uznanie dla niej za granicą. Ci mianowicie, którzy roszczą sobie pretensyę do reprezentowania uczuć narodowych, objawili smutny brak miłości ojczyzny i wypowiedzieli wojnę przeciw duchom wylatującym ponad poziom konwencyonalnych zapatrywań; wojna ta działała na wewnątrz kraju ogłupiająco, a na zewnątrz opóźniała i tamowała uznanie i powagę.

Żadne duńskie nazwisko otoczone jednomyślnem uznaniem Duńczyków nie wybiegło za granicę kraju. Zjawiało się ono oczernione, splamione bezdźwięczne. Żaden duński talent nie zabłysnął w aureoli owego ojczystego szacunku i czci przesadnej, które często są pierwszem stopniem do sławy europejskiej. Przekraczał on granicę poniżony, a nadto nieraz fatalne stosunki ojczyste zbyt hamowały rozgłos piastuna nazwiska, aby oddźwięk silny mógł znaleść.

Do sądu ojczystego bowiem przywiązane jest w tej właśnie dziedzinie pewne znaczenie. Literatura piękna nie posiada przecież jak muzyka, malarstwo lub nauka ścisła wręcz uniwersalnej natury. Piękność i wartość polegają tu w znacznej części na formie językowej, której na obcy grunt żywcem przesadzić lub przetłomaczyć nie można. Pozostaje zawsze jakaś cząstka, którą cudzoziemiec przyjąć musi na dobrą wiarę ziomków pisarza. Norwegski autor czuje zawsze na obczyźnie za plecami swojemi Norwegię, — duński pisarz natomiast ma zwykle za granicą Danją przeciw sobie. Głośni ziomkowie zaczepiają go w czasopismach francuzkich, anonimowi korespondenci kopenhagscy rzucają się na niego w berlińskiej, niemiecko-rosyjskiej lub holandzkiej prasie, a nawet duńskie biuro telegraficzne nie odznacza się bezstronnością. Duński pisarz musiał sobie nieraz powiedzieć: Tak! gdyby nie było na świecie najmilszych ziomków moich, to mimo wszystkiego zwyciężyłbym może!

Oczywiście stosunek ten nie jest jedyną przyczyną tego, że Danja w opinii europejskiej zajmuje niższe stanowisko niż Norwegja. Gdybyśmy nawet za granicą w ruch wprawili najdziksze reklamę, to i takie postępowanie nicby nam nie pomogło. Scharakteryzowany przezemnie fanatyzm jest wprawdzie bardzo szkodliwym i wstrętnym, ale nie jest on chorobą samą, lecz tylko symptomem duńskiej choroby, — nie jest przyczyną samą gaśnięcia

nienawidzi Yankesów. „Nie widzę powodu, dla jakiegobyś pani nie miała ich lubić,“ odrzekła przybyła, „są to jedyni ludzie, którzy czytają jej haniebne książki.“ Ouida przyciągnęła Amerykankę ku sobie, mówiąc „wreszcie możesz pani być interesującą istotą, możesz wejść..“ Tak samo bowiem jak słynnego myśliciela Carlyle, Ouidę można zdobyć, traktując ją jej własnym batogiem. *M. W.*

Przy szumie drzew.

Z cyklu „Miłość“.

W wielkiej świątyni Przyrody pod niebios
Jasnem sklepieniem, w zielonym
Lesie, wyrosłym na łagodnym wzgórzu,
Przy drzew poszumie zawarłem z nią śluby..

* * *

Na mchach siedliśmy, milczący oboje,
Ona, na łono opuściwszy ręce,
Kwiat jakiś w palcach trzymała, zrywając
Z białej korony listek po listeczku.
Jak szczypty pierza miękkiego, lub śniegu
Maleńkie płatki, wionęły pod moje
Stopy te życia złamanego szczątki.
Powieki miała spuszczone. Od czasu
Tylko do czasu, kiedy nad głowami
Natrętna osa, wyrwawszy się z gniazda,
Skrytego w ziemi, krążyć rozpoczęła,
Brzęcząc jak echo rozbitego dzwonka,
Podniosła w górę źrenicę, podob ą
Do niezabudki, na której pozostał
Ślad mgły porannej albo ślad kropelki
Dżdżu wiosennego. Wtedy mimo woli,
A może z wolą wewnętrznego pędu,
Uwięzionego gdzieś w najgłębszej toni
Dziewiczej duszy, by koral w przepaściach
Oceanowych, wzrok jej błyskawicznie
Spotkał się z mojem spojrzeniem i naraz
Żywy rumieniec, jakby wstyd ją było
Myśli tajemnej, zakwitnął na twarzy,
Opadłej znowu na piersi. I ręce
Poczęły znowu obrywać listeczki
Z ziół, rozrzuconych na łonie... Z wstydliwej,
Słodkiej bezwładzy wyrywał na chwilę
Schyloną postać nagły chrzęst w konarach
Bliskiego drzewa, na które brunatna,
Zwinna skoczyła wiewiórka, lub szelest
Przemykającej łasiczki, lub jaszczur,
Gdy się po trawie u jej stóp przewinął.
Czasem na dłoń jej upadła biedronka
Lub wpełznął owad zielonawo-złoty,
Zrodzony w trawie, wychowany w słońcu.
„Boisz się?“ szepnę. Drgnęła, a jej oko
Jeszcze się głębiej pod rzęsy schowało,
Pod długie, gęste, pod te ciemne rzęsy,
Pokrywające tajemnice duszy,
Niby zasłona, co ongi przed wieki,
Skrywała w Sais święty obraz bóstwa.

* * *

Onieśmielony byłem jej milczeniem.
A przecież w ślad jej spieszyłem, by oto,
Zdala od zgiełku i od targów świata,
Rzec jej w tej ciszy uroczego lasu,
Że choć na życia przypadkowych drogach
Spotkaliśmy się, jak się spotykają
Przez wiatr odcięte z różnych pniów gałęzie,
Mamy w swem wnętrzu coś, co już na wieki
Złączyć nas winno. Lecz znowu, jak nieraz,
Onieśmielony byłem jej milczeniem.
I wątpliwości, jak rój młodych wężów,
Które podnoszą nad krawędzie gniazda
Swe drobne głowy, powstawały we mnie:
Czy znam jej wnętrze i czy jest w niem kącik,
Który na wyraz czarodziejski „kocham“
Wyrośnie dla mie w świątynię, jak owe
Z ludowej baśni kościoły, co w pewnych
Chwilach umieją zmienić się z maleńkiej,
Prostej kaplicy w wspaniałe katedry
O strzelających ku niebiosom wieżach,
O dachach złotem pokrytych, o nawach,
Przepełnych ducha bożego!... Nie pierwszy
Raz to pragnąłem wyrzucić z głębiny
Duszy ten kamień, co legł mi ciężarem
Na dniu dzisiejszym i na snach Przyszłości,
Na wymarzonych wszystkich jej nadziejach.
Nie poraz pierwszy chciałem dłoń jej schwycić
I, przycisnąwszy ją do ust, zapytać
Jej oczu jasnych i jej warg rumianych.
Czy mają dla mnie odpowiedź, mogącą
W ciemne krużkanki mojego żywota
Wlać strugę światła. O nie raz jedyny
Byłem już bliski tej chwili, by, ręce
Mając na piersiach i z grzbietem skulonym,
Jak przebaczenia i świętej pociechy
Żądliwy grzesznik, jednym tchem jej wyznać,
Jaki huragan szalał pośród drogi.
Którą dotychczas kroczyłem! Jak w oczy
Sypał mi kurzu tumany, że rychło
Źrenica moja straciła wrażliwość
Na wielki urok promieni słonecznych
I że jej było najlepiej śród nocy!
Jak owa burza, wszczęta przez złe duchy,
Które w mem własnem zamieszkały wnętrzu,
Nietoperzowe roztaczała skrzydła
I niby pyłek na bagna mnie niosła.
I jak z rosnących tamże jadowitych
Cykut straszliwy-m wyciskał eliksir,
Aby nim zatruć niejedną niewinną
Duszę! Nie pierwszy był to raz, żem pragnął
Do stóp jej upaść i, podniósłszy głowę
Ku jej źrenicom, zawołać: „Ty władzę
Posiadasz w sobie, daną ci przez siły,
Zmysłom człowieka nieznane lecz w skutkach
Błogosławionych widoczne, że możesz
Już nie wyrazem, lecz ruchem, spojrzeniem,
Jak czarodziejskiem zaklęciem, z grzesznika
Twardej powłoki, by z ciemnej jaskini,
Nowego ducha wydobyć, światłością
Wszystkich strzelistych cnót promieniącego!
To, co w nim było dawniej potępieniem,
Przez ciebie będzie zbawiającą łaską!
Betezdą jesteś“ — tak nieraz myślałem
Zwrócić się ku niej — „tą ewangeliczną
Sadzawką jesteś, której święte zdroje
Trąd obmywały z nieczystych! Czem wszystkie
Przewiny chmurnej przeszłości, gdy dzisiaj
Zabłyśnie nad nią siedmiobarwna tęcza,
Uwita z błysków twojej czystej duszy!“
To znów, gdym spojrzał w jej błękitne oczy,
Do lustrzanego jeziora podobne,
W którem odbija się głębia i ogrom
Niezmierzonego horyzontu niebios;
Kiedy przedemną lekki wietrzyk rozwiał
Jej włos jedwabny, igrający w słońcu
Połyskiem złota, gdym patrzał na kibić,
Smukłą, jak młoda brzezina; gdy wzrok mój
Spoczął na szyji łabędziej, białością
Odurzającej, lub na krągłych piersiach,
Kształt swój znaczących dwiema światła plamy
Na ciemnej sukni; gdym spojrzał na drobną
Stopę, przypadkiem lekko wysuniętą:
Krew we mnie wrzała! Sardanapalowej
Uczty płomienne migały obrazy!
Jak gibką gałąź giąć ją w swych uściskach!
Pokryć jej postać tysiącem całunków,
Ażby jej krwawe wystąpiły smugi,
Ażby omdlała w pieszczotach! Zapachem
Świeżego ciała wabion, z legowiska
Jak noc ciemnego, dziki zwierz się skradał,
. . . .
. . . . Lecz rychło
Wstyd jakiś straszny pożerał me lice,
Czerwieniąc nawet powieki. Pochylon
Stawałem przy niej, jak ów pies obity,
A wierny panu swojemu! Nie mogłem
Opędzić myśli, która, jak złowieszczy
Ptak, mego serca dotykała skrzydłem
Piekielnie czarnem, szeleszcząc, że ona
Łagodnym wzrokiem wniknęła w najskrytszą
Toń mego wnętrza, spostrzegła w niem — zbrodnię
I za tę zbrodnię czuje bezgraniczną,
Bezdenną litość!... I już nie marzyłem,
Aby jej ręką zapukać do wrótni
Utraconego Edenu, lecz, chłodnym
Przejęty dreszczem, pragnący „po życiu
Przepełnem błędów i męczarń wypocząć
W zimnej mogile“, chciałem jej wyrazić
Owo życzenie pieśniarza, ażeby
Nie jak kochanka, oddana mi ongi
Ciałem i duszą, lecz „jak gołębica,
Jak wielki anioł miłosierdzia, przyszła
Na grób, usypan z ciężkiej, twardej ziemi,
I kilka świeżych rzuciła nań kwiatów“.

Jan Kasprowicz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jedna z czytelniczek „Przeglądu“ nadsyła nam łaskawie artykuł następujący:

Curiosum literackie.

Poznań, 19 lipca.

„Kobieta w Polsce dawniej, dziś i w przyszłości“ — oto szumny tytuł wiekopomnego studyum, które lwowski „Przed-

---

Danii w oczach zagranicy, lecz tylko jednym z niezliczonych skutków tej przyczyny.

Przyczyna tkwi głębiej.

Przyczyną tą jest, że w ostatnich latach dwudziestu podjęto tu poważną, a mestety pod wielu względami udaną próbę, aby kraj duchowo wyniszczyć i w pustkowie zamienić. Zdawać by się mogło na pozór, że fakt tak czysto polityczny i chociaż rok w rok powracający, to mimo to odosobniony, jak prowizoryczne prawo finansowe lub jego zatwierdzenie przez najwyższy sąd kraju lub wogóle stosunek sądów naszych do rządu, — zdawaćby się mogło, że tego rodzaju sprawy pozostają bez wpływu na umysłowe życie kraju, zdolności, uczucia, poglądy, rodzaj i kierunek fantazyi. Czyż literatura i sztuka kwitnąć nie może — pytają — chociaż w polityce zastój panuje?

Tak! to brzmi bardzo pięknie. W rzeczy samej jednak przedstawia się inaczej.

Przypuśćmy, że rząd pewien stara się ujarzmić naród, — przypuśćmy, że naród ten jest słabym, że charakterów w nim mało, a najmniej w życiu publicznem, że należałoby go dopiero wychować i przyzwyczaić do swobody, bo w kilkowiekowej małoletności stracił siły swoje, stracił mianowicie w obec pokusy odporność, przypuśćmy, że rząd tego narodu posuwa się tak daleko, aby rozpisywać formalne premje na serwilizm! — przypuśćmy, że rząd, oczywiście bez zamiaru, party potęgą stosunków, ostatecznie na mocy wywieranego przez lat nieomal 20 ucisku zaciera indywidualizm, łamie charaktery, zabija świeżość, oryginalność, odwagę, zmysł prawdy, zdrowe zaufanie do własnych sił, — to naoczas zwolennicy takiego rządu, jeżeli inteligentni wśród niego znajdują się ludzie, spostrzegą pewnego dnia z przerażeniem, że państwo stało się pustynią, gdzie cenniejsza roślina tylko z nadzwyczajnym trudem rosnąć i rozwijać się może. Odkryją oni, że młodsze pokolenie nie posiada żadnego politycznego talentu, — nie mówiąc już wcale o politycznych charakterach.

Powstały tu stosunki, których ani arystokracyą, ani demokracyą mianować nie można, lecz gerontokracyą, — rządy starców, tak! starych i młodych starców. Wszędzie na zaszczytnych miejscach przy sterze państwa i w administracyi, w sztuce i nauce, w teatrze i cenzurze podnosi rząd starców głowę Meduzy, a lokach nie zawsze prawdziwych. A młodzi starcy gorsi są od starych.

Żyjemy obecnie w stosunkach, w których dla zmysłu prawa i poczucia prawa nie ma areny działalności, — żyjemy w stosunkach, w których instykty te są wręcz przeszkodą. A przecież sprawiedliwość, to najwyższy ideał, zrodzony z ducha ludzkiego. Kto nie zniży się do poklasku dla wielkiej negacyi prawa, ten nic tu osięgnąć nie zdoła. Żyjemy w takim stanie, że dla niezawisłości nie ma u nas miejsca, że charakter stał się rodzajem trądu, który izoluje i uniemożliwia pracę w społeczeństwie. Jest to stan, w którym pobłażanie potentatom oraz ich zwolennikom nie zna żadnych granic. Im to przebacza się wszystko, — każdą słabość, każde nieuctwo, każdą śmieszność, każdy objaw nizkiego usposobienia, każda nicość charakteru. Świadomość prawa stała się dla nich giętką jak Gummi elasticum. Skoro pojawi się niewygodny świadek, to znika z horyzontu. Żeński członek szpitala dla ubogich odbywa dla przyjemności wycieczkę do Brazylii.*) My ku temu środków nie mamy, lecz ona — ona je posiada. Nic szkody nie przynosi, nic nie zabija. Biada temu jedynie, kto świadka nie ma pod ręką, — a nikt się nie gorszy tym stanem.

*) Pewien redaktor zwrócił uwagę na rozliczne niedostatki szpitala w Korsör. Gdy w sprawie tej wytoczono proces, wysłano głównego świadka (kobietę) do Brazylii, a redaktora skazano na 3 miesiące więzienia. (Przyp. Tłom.)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

świt“ ku nauce i zbudowaniu czytelniczek w łamach swych zamieszcza. „Dawniej, dziś i w przyszłości!“ e x c u s e z d u p e u. — Wobec rozległości tematu nie można się spodziewać szybkiego zaspokojenia ciekawości czytelników co do wróżb autora, ani też dziwić, że dotychczas zajmuje się dopiero kobietą, jaką była „dawniej“. Zapytać by chyba należało, co rozumieć pod tem ostatniem słowem. „Dawniej“ — to ani data, ani epoka, a wczytanie się w treść artykułu bynajmniej czytelnika nie objaśnia, gdyż w jednym i tym samym numerze spotyka wzmianki o Grunwaldzie, Kazimierzu Wielkim, Birkowskim, Skardze, Leszczyńskim, Czarnieckim, Sasach, o satyryku Opalińskim wreszcie. Tego ostatniego, choć w literaturze pod imieniem Krzysztofa jest znanym, autorowi podobało się nazwać Łukaszem — o co mniejsza, gdyż jestto najdrobniejsza z usterek omawianego przez nas artykułu.

Autor lub autorka, zabierając się do opracowania tak poważnego tematu zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, iż owa przeszłość tak wygodnym wyrazem „dawniej“ określona trwała blizko 9 wieków — że każdy z nich przynosił inne zmiany i przewroty w zewnętrznych i wewnętrznych krajowych stosunkach, nowym wpływom społeczeństwo poddawał i wedle nowej modły urabiał charaktery męzkie i kobiece. — Nad tem wszystkiem nie uważa bynajmniej za stosowne zastanowić się, lub czytelnika uwagę zatrzymać i stylem starej niańki, która zasiadłszy pod piecem bajeczki dzieciom opowiada, gawędzi sobie w kółko i bez związku: „Był dawniej król i miał trzech synów; — dwóch było mądrych, jeden głupi“ itd. — W bajkach ludowych kryje się z czasem mądrość ludu pod poetyczną szatą zmyślenia; w artykule „P r z e d ś w i t u“ nie ma ani poetycznej szaty, ani żadnej ukrytej mądrości — jest tylko zmyślenie i bigos z różnych anegdotek, nie połączonych z sobą żadnym logicznym łącznikiem. — Oto próbka:

„Strzedz niewiasty, to nalewać w piasty.“

„Zaraz będzie między świętych wzięty,
Kto wypatrzy niewieście wykręty.“

Po zacytowaniu kilku tego rodzaju przysłów wysnuwa z nich autor niespodziewanie wniosek, że Polki moralnie bardzo wysoko stały, gdyż inaczej wady ich nie raziłyby współczesnych. Zapożyczając metody z „P r z e d ś w i t u“ podejmujemy się dowieść, iż w Anglii klimat jest bardzo suchy, inaczej bowiem jej mieszkańcy nie skarzyliby się na obfitość opadów, gdyż obfitość ta by ich nie raziła.

Wszystkie satyry Opalińskiego dowodzą podobno tylko goryczy jego własnego serca, niczego więcej — i wreszcie cokolwiek przeciw wadom niewiast pisano jest jedynie wynikiem złośliwości pisarzy. — Zarzutów i to bardzo ciężkich przytacza autor moc wielką, uspokaja jednak czytelniczki, że nie miały one żadnej podstawy, a bezpośrednio potem ośmiela się pisać: „W s z y s t k i e świadectwa co do cnót ogółu niewiast zgodne są“

Co słowo — to niedorzeczność, co zdanie — to tak samo w sobie sprzeczne, że biedne czytelniczki młynka w głowie dostać mogą, chcąc w intencye autora wniknąć i myśl jego pochwycić.

Czytamy więc, że żona Polka dla męża swego była surowym sędzią, — dalej, że „koń jeźdźcem — żona mężem stoi“ — Po faktach przytaczanych i po poprzedniem twierdzeniu wnosić można, że koń-żona przez jeźdzca-męża nie zawsze bywał dobrze ujeżdżony.

Odwagę niewiast polskich zarówno wojenną jak cichą, „kobietom właściwą“ wynosi autor ponad głośne czyny „Herkulesów“, Cezarów i Aleksandrów“ — i przytacza na poparcie swego zapatrywania bardzo ciekawe dowody: „W czasie zabaw i uczt okazywały się niewiasty nasze nieustraszone“ — i dalej wspomina wypadki, którym podobne „na ziemi szwajcarskiej zrodziły Wilhelmów Tellów“.

Może czytelnicy „Przeglądu“ nie wiedzą jakie to wypadki rodzą Wilhelmów Tellów?“ Objaśnienie mogłoby być pożytecznem w interesie kraju, gdzieby się tak bardzo choćby jeden Wilhelm Tell mógł przydać. „Wypadki“ te to owo sławne strzelanie „do korków bucików, do kwiatka, do czepca na głowie przypiętego“ — słowem objawy pijackiej brawury, któremi nasi przodkowie o stanie swych 5ciu klepek smutne dawali świadectwo. — Autorowi naszemu podobają się one niezmiernie; wierzy naiwnie — — że na tej drodze produkuje się bohaterów i sławi nieustraszoną odwagę naszych prababek, — na ucztach — zapewniając przytem, że to nie były fakty jedyne w swoim rodzaju, lecz całe wychowanie naszych białogłów w tym kierunku idąc, przygotowywało dzielne obywatelki i dobre matki. Wobec tego ręce załamać należy. - Kobieta „dziś“ nie pozwala strzelać do korków swych bucików (czasem wcale korkow nie nosi) nie daje za cel walecznej młodzieży kwiatka, ani czepca na głowie przypiętego, zkądże w obecnym wieku mają być dobre matki i dzielne obywatelki? zkąd weźmiemy Wilhelmów Tellów w razie potrzeby?! — O! nieszczęśliwa ojczyzno! Owe „nieustraszone na ucztach“ niewiasty odznaczały się prócz tego „blaskiem prostoty“ takim, którego żadna satyra, żadna żółć zepsutych pisarzy zaćmić nie mogła“, a który im i „na tronie i pod strzechą towarzyszył.“

Zwracam uwagę szanownych czytelników na piękny i uroczy styl autora, który proszę sądzić wedle przytoczonych próbek. Naszem zdaniem należałoby je zamieścić w wypisach obok bajek Rozbickiego i takich kwiecistych, a pełnych znaczenia zdań jak: „Panowie, ta szpada to najpiękniejszy dzień mego życia“, lub: „Ząb czasu, który już niejednę łzę osuszył, pozwoli zagoić się i tej ranie.“ Zebralibyśmy tym sposobem cenne wzory stylu, logiki i języka dla nauczenia przyszłych adeptów literatury, jak pisać nie należy.

Autor pisze j e s z c z e:

„Zdawałoby się, że koniecznie obok tej gołębiej prostoty musi stawać niesłychana naiwność, tak poprostu nazwana ograniczonością, a nawet głupotą, tymczasem historya p r z e k o n u j e, że tak nie było wcale.“

Szanowny autorze. który śmiało gardząc świadectwami historycznemi, depcąc prawa logiki, gramatyki i ortografii, głośno wielbisz nieustraszone hulanki i pijatyki naszych przodków, zmiłuj się, rzuć pióro i zabierz się do książki. Naucz się, pisać nie „wspomniem“ lecz „wspomnim“, zgadzać w rodzaju i przypadku przymiotnik z rzeczownikiem, a w każdej okoliczności słowa swoje ze zdrowym rozsądkiem, gdyż inaczej swemi niegramatycznemi panegirykami na cześć kobiety dawniejszej zdradzisz przed dzisiejszą swą „gołębią prostotą niesłychaną naiwność, po prostu zwaną ograniczonością, a nawet głupotą“, wreszcie wystawisz się na szyderstwo kobiety w przyszłości, jeśli przypadkiem ona więcej wiedzieć będzie o tobie niż ty o niej.

W tym samym numerze „Przedświtu“ czytam usprawiedliwienie się redaktorki, iż w czasie jej pobytu w Zakopanem wkradły się do jej pisma błędy w korekcie, a nawet obce jej dążnościom myśli do artykułów. — Jako pilna i życzliwa czytelniczka po przeczytaniu ostatniego numeru proszę ją usilnie i goraco, aby ile możności nie wyjeżdżała już nigdy do Zakopanego.

R. I.

NA WYŁOMIE.

(N o w y „C a l i g u l a“. Z b a w i e n n e w p ł y w y. P a n D o m a r a t.)

Redaktorowi i czytelnikom „Przeglądu“ powiemy na ucho ciekawą powiastkę — oczywiście „dyskrecya rzecz honorowa“.

Z UPOMINKU.

SEN O WIOŚNIE.

Przyśnił mi się gaj na wzgórzu,
Tam pod wioską moją,
Gdzie w zielonych płachtach brzozy
Jak dziewoje stoją . . .
Słonko liście szmaragdowe
Nakropiło złotem;
Gaj rozbrzmiewa szmerem, szumem
I ptasząt świegotem . . .
Śpiewa mi coś pieśń znajomą,
Aż się nieba śmieją;
Białe brzozy się do taktu,
Jakby w tańcu chwieją . . .
Słucham . . . słyszę . . . ludzkim głosem
Nucą we śnie drzewa . . .
Piosnkę w gaju ułożyłem,
Gaj ją teraz śpiewa . . .
Słucham . . . słyszę . . . przypominam,
Serce drży radośnie;
Wszak to piosnka, piosnka moja
O niej i o wiośnie . . .
Czuję, łza mi jakaś słodka
Po licach się toczy;
Coraz cichsze płyną echa . . .
Prysnął sen uroczy . . .

A na jawie śniegi, zima,
Z wiatrem wieją mrozy;
W sercu smutek; w głuchym gaju
Drzemią senne brzozy . . .

Maryan Gawalewicz.

ZE WSPOMNIEŃ AKTORA.

Zaangażowawszy się do teatru krakowskiego, odwiedzałem często rodzinną wioskę odległą o mil trzy.

Gdym przybył do chaty mojego ojca, wnet krewni, sąsiedzi, zjawiali się jeden po drugim, niby to niechcący, lub z urojonym jakimś interesem, a to dla tego, ażeby z bliska zobaczyć c i a r a c h a, który przez długi czas gdzieś w świecie się c u r a ł*) i znów ni ztąd ni z owąd we wsi się zjawił.

Z początku nieufni i podejrzliwi trzymali się z dala, a choć się z czasem oswoili ze mną i chętnie gawędzili o różnych rzeczach, jednak ta jakaś dziwna podejrzliwość co do mej osoby nie ustawała; w każdym ich słowie, geście, spojrzeniu, tkwiła jakaś tajemnicza, ale zarazem wstydliwa ciekawość. Pojąć nie mogłem, o co im chodzi. aż pewnego razu jeden z nich, czerwieniąc się, jak burak, zadaje mi następujące pytanie.

— Podzcie mi, panie Jonie... cem wy to jezdeście w onym Krakowie?

— Jakto, czem jestem?

— No dyć... bo to my wiemy, że w miastach są kupcy, kamienicniki, profesory, sędzie... różne rzemieślniki i fabrykanty... jest wojsko i urzędniki... kuzdy jest cemsik... a wy cem jezdeście?

— Ja?... ja jestem aktorem.

— Achtór?... a cóż to to?

— Hm.., co? Mam kondycyą w tak zwanym teatrze.

— Tryjater?... a cóż to niby jest?

— Oh... to już trudno... ja wam tego słowami nie wytłomaczę... jest to takie zajęcie, które trzeba widzieć, żeby je zrozumieć.

Wtedy mój interlokutor, rumieniąc się jeszcze bardziej, bąka nieśmiało:

— Darujcie, ale jo kiedyś byłem na Scepańskim placu.. i pytołem się przekupki, co to jest tryater?... a ona pedziała, że to komedyje.

---

*) Tyrał... Mieli na myśli moją kilkoletnią włóczęgę prowincyonalną.

Otóż wpada do mnie wczoraj jeden z poznańskich Wszędobylskich i Wszystkowiedzów, rzuca na stół korektę „Przeglądu“ rozkłada się na kanapie i mruczy sobie pod nosem: Mądrale! reformatorzy! komedyanci! Tere fere! tak! tak!...

Mruczy i mruczy, — a ja nic. Gaduła się irytuje, chrząka, pluje, — a ja nic. Znam cię wróbelku. Im mniej się pytam, tem prędzej wyśpiewasz.

Wreszcie podnosi się zwolna zapala papierosa i przewróciwszy białka jak Franciszek Moor, ścigany furyą sumienia, syczy mi nad uchem:

— Caligula!

Spoglądam, słucham, nic nie rozumiem, — a ten orangutan powtarza swoje:

— Caligula! Caligula!

Zwaryował, czy co? No mówże plotko poznańska.

Zaczyna mrugać oczami i, zachichotawszy jak djabeł o północy na spruchniałej wierzbie, grozi mi palcem.

— Czy wy sądzicie, że my z rozumu obrani? Czy wy mniemacie, że się na takich sztuczkach nie poznamy. Brandesa drukują komedyanty. Pi! pi! On taki Brandes jak ja Chińczyk. Pisze się niby o Danii a myśli o metropolii poznańskiej. Podjadki, histryoni, Caligule!

Nie! ani słowa! upił się i plecie!

— No! powiedz prawdę! Byłeś u Cichowicza, albo w katakumbach.

— Za co? Za te marne fenygi, które od wiersza płacicie? I jeszcze bluźnią Shylloki! Hm! Cichowicz, Pfitzner... Tecum vivere amem tecum obeam libens.

Tu westchnienie głębokie jak morze wydarło się z piersi Tantala. Przymrużył oczy i jakieś lubieżne marzenie rozpromieniło nalane oblicze. Chwilę tak dumał, a potem znowu skrzywił się jak fryga i mruczał.

— Łżą jak najęci i jeszcze przed kim? Przedemną! Ba! Frant na franta! Mówię wam: wpadniecie. Prokurator nie przyłapał Ouiddego, ale was dalibóg Brandes zaszpuntuje. Jezuitom ukradli firmę „Przeglądu Poznańskiego“ a Brandesowi nazwisko. Latrocinium! rozbój na publicznej drodze.

Podniosłem się zwolna i za puls go chwytam, a on rękę wydziera i w najwyższej pasyi wrzeszczy jak opętany:

— Zwińcie budę póki czas i w nogi. Brandesów udają. Ho! ho! Żaba chciała być krową, wzdęła się i pękła. Walą po cichu artykuł o Danii, smarują firmę Brandesa, przylepiają tytuł „Uczucie narodowe“ — a ty Maćku graj!

Znów na kanapę się rzucił i zmrużył oczy maślane. Po chwili dopiero podniósł się, stanął przedemną i zmienionym, melancholijnym głosem tak mówić począł:

— Wiesz co? Kwita z przyjaźni. Tchórze jesteście! Nie było to otwarcie powiedzieć: To nie Brandes lecz „Przegląd Poznański“, nie Duńczycy, lecz my! Po co to kraść cudze firmy, podszywać się pod duńskie stosunki i małpować Caligulę. Bez maski, bez trwogi, bez obłudy — piramidalne frazesy, a odwaga gdzie? W pięcie.

Oniemiałem. Widząc jednak, że za kapelusz chwyta, zerwałem się jak oparzony:

— Zwaryował, dalipan zwaryował. Kto tobie tego wróbla wsadził? Przecież to jedna z najgłośniejszych broszur, którą tłomaczymy. Pytaj księgarzy! Pójdź do redakcyi! Pokażę ci książkę. Nie! nie! zwaryował.

Gość z kapeluszem w ręku tak na mnie spoglądał, jakby prześwidrować chciał mózg mój na wylot.

— Na mieście gadają, — mruknął pod nosem. A zresztą ślepy nie jestem. Za wiele aluzyi, za wiele analogii. Toż to miejscami fotografia stosunków naszych.

— Hola! przyjacielu! przesadzasz. Wreszcie, cóż ja na to poradzę? Idź! kup książkę, przekonaj się.

Jeszcze nie wierzył. Zwolna podniósł ze stołu arkusze korekty i czytał półgłosem:

„Powstały tu stosunki, których ani arystokracyą ani demokracyą nazwać nie można, lecz g e r o n t o k r a c y ą, rządy starców, tak! starych i młodych starców. Wszędzie, — na zaszczytnych miejscach przy sterze państwa i w administracyi, w sztuce i nauce, w teatrze i cenzurze podnosi rząd starców głowę meduzy o lokach nie zawsze prawdziwych, A młodzi starcy gorsi są od starych.“

Spojrzał na mnie z podełba i znowu czytał:

„Tylko entuzyazm młodzieńczych duchów mógł się pokusić o rozbudzenie ruchu umysłowego wśród ówczesnych zgniłych stosunków, a nadto pewien stopień woli ten rozwinąć musiał, kto wobec potentatów ojczystych nie chciał czoła uchylić pokornie. Prasa — i to cała prasa — zamknęła łamy swoje dla młodych pisarzy....“

Rzucił korektę na stół i szepnął smutnie:

— Albo ty kłamiesz, albo szatan wspólny grasuje u nas i w Danii.

Uścisnął mi rękę i wybiegł z pokoju, a ja spoglądałem długo w posępne słowa Brandesa i powtarzałem bolesny okrzyk: „Le Danemark s'efface!“

* * *

W kronice poznańskiej mnożą się drobne fakciki, świadczące o zbawiennych skutkach naszej rózgi krytycznej i Brown-Sequardowskich (venia sit verbo) injekcyi. Zapisujemy z zadowolnieniem, że 1) Rada nadzorcza „Wielkopolanina“, ukarana należycie za postępowanie swoje, odbyła pielgrzymkę do Canossy i p. Juljana Bukowieckiego znowu na redaktorskim osadziła krześle. Jeden grzesznik nawrócony milszy sercu naszemu niż tłumy wiernych bez plamy i skazy. 2) Pan Dobrowolski, zagrożony publicznie procesem, odnalazł wreszcie rękopis pewnego z literatów galicyjskich, przypomniał sobie, że ludzie „z towarzystwa“ odpisują na listy reklamujące własność zabraną, i znalezioną w czeluściach redakcyjnych rozprawkę publikuje w organie swoim. 3) „Dziennik Poznański“, zasuszony staruszek, odmłodniał i w takt muzyki naszej ruszać się zaczyna. Rozbudzony artykułami „Przeglądu“ interes dla Słowiańszczyzny zapalił ambicyą i zazdrość nieruchomego poczciwca. Zerwał się, podskoczył i oto! posłuszny naukom naszym zapowiada stałe „Przeglądy prasy słowiańskiej.“ 4) „Kuryer Poznański“ poczuwszy na sprusaczonem obliczu karzącą rękę „młodopolską“ zaczyna udawać patryotę. Już nie paraliżuje składek na fundusz Kościuszkowski, już nie upatruje gorszącej demonstracyi w jubileuszowej kolekcie narodowej, już nie odrzuca proklamacyi komitetu Kościuszkowskiego — maluczko, a rogatywkę wsadzi na uszy. Ba! organ pruskiego stronnictwa znalazł nawet słowo potępienia dla kolonizatorów, — a ludzie opowiadają sobie, że to nowa wolta polityczna dla uciszenia „patryotów“. Ha! śmierć na karku — nogi dygotają. Toż jeden z korespondentów „Gońca Wielkopolskiego“ bąknął niedawno o „żelaznych hakach.“

Okropność!

Jednem słowem: rejterada sztabu pruskiego i krwi strumienie w anemicznych starcach! „Przegląd“ odegrał rolę kryształowego zwierciadła. Ludzie zaczęli wpatrywać się w lustro błyszczące i ujrzeli nagle, że lica ich zadymione, zmarszczkami pokryte, niezdrowym skrzywione grymasem. Chwila przerażenia, a potem zwolna rozpoczyna się dyskretne szorowanie, mycie, hygiena. Wszystko to jeszcze drobne, nieśmiałe i wymuszone, ale coś niby płatek jutrzni porannej czerwieni się na horyzoncie dalekim. Może to świtu wróżba płomienna... Witaj Heliosie!

Usłyszał Gwebrów modlitwę jeden z kapelmistrzów kuryerowej orkiestry i syknął jak gad przydepnięty. Na nieszczęście muzyk ten grasuje nietylko w pruskim organie poznańskiej dzielnicy, lecz kompozycyami swojemi uszczęśliwia „Kraj“ petersburski i krakowski

---

— No tak... jedni to nazywają komedyami, drudzy teatrem, lecz to wszystko jedno.

— Wszyćko jedno? Oh! to już wiem, co to jest!...

— Wiecie?... — pytam się zdziwiony.

— No dyć! — odpowiada — jeśli komendyje, to wiem!... widziałem je!

— Widzieliście?... kiedy.

— Ano bedzie temu... zaraz... — tu jął sobie przypominać w sposób chłopom właściwy. — Zaroz, zaroz... Banasikowa krowa się ocieliła... Wojtek złomoł radło... a ten... zaroz, zaroz... aha!... będzie temu akurat lat dwadzieścia pięć. Zgodziłem się na flis... Oh, bo za młodu był ze mnie flisok co się nazywo. Mieliśwa płynąć ze solą do Zawichosta... Naładowaliśma krypy u Podgórza*) i puscoj!... cóz kiej wody brak... ani rus płynąć.., do dom takze wrócić nie było mozna, bo zgoda była na obowiązek... zrestą strawne**) płacą, to siedź i cekój, az woda przybierze... tak tez i było... bonowałem się po onym Krakowie, kiejby jaki pon!... roboty zodnej, ino spacery to po Kaźmierzu, to po Stradomiu... kaj kto chciał! Roz pomnę przysedem na plac pod Zamek... wiecie kaj?...

Skinąłem głową na potwierdzenie, nie przerywając mu ani jednem słowem opowiadania, on zaś ciągnął dalej:

— Otóż przysedem na ten plac jakoś przed wieczorem... patrzę jakaś buda!... Ki cort! myślę se... ze ziemi wyrosła, cy co?... wcora nic a nic nie było na placu, dziś jest taki gmach!... Przezegnałem się po chrześciańsku, i zdziwiony pytom się jednej przekupki, co niedaleko tamoj siedziała?

— Pani!?... a ona pedo:

— No?... Wskazuję jej budę i pytom:

— Cóz to to?... a ona mi na to:

— Idź, chamie, to uźrys... Idź, idź, myślę se... abo to tam puscą?... oblozłem oną budę naokolusienko... Kataryna grała jaz nogi wiergały... Wtem patrzę... jakieś okienko, a w nim jakaś pani... podchodzę i pytom: Pani!?... a ona: No?... jo znów się pytom: a można tam wliźć do onej budy? a ona na to: kup bilet to wlizies... Kupić?... a cóz to kostuje? A ona pedo: sześć starych grajcarów (12 groszy). Sztuk grosza myślę se... skoda marnować... ale z drugiej strony znowu se tak myślę: idzies na ten flis... zwiedzis siła świata... płynies to Wisłą, to Norwią... Muchowcem... zawadzis to o Warsawę, to o Brześć, to o Gdańsk... a gdy wrócis na jesieni do dom, wszyscy się pytają: cóześ w świecie widzioł?... a ty godos... umhu!...

Waguję se tedy to tak, to owak... wreście wyjonem pieniądze i kupiłem bilet... wlozłem do środka na okrutny chór... patrzę... a tam jedna psio-krew na ciukach*) chodziła.

Po tej długiej opowieści zwraca się do mnie i zapytuje:

— Cy i wy, panie Jonie, takim samym c i u k o w c e m jezdeście?...

— Co?

— No?... cy takie same komedyje pokazujecie?

— Ja?... uchowaj Boże!

— Jakto? przecież to, com widzioł, były komedyje... a wy jezdeście tyz w komedyach?...

Masz djable kaftan!... pomyślałem teraz ja z kolei... mają mnie tutaj za akrobatę... jak tu z tego wybrnąć? Co im tam wtenczas naopowiadałem jaka jest różnica między teatrem, a wędrownym cyrkiem, trudnoby mi było w tem miejscu opisać... mówiłem o ciele, o duszy i o zabawie i o nauce, wszystko napróżno!... Wtem przyszła mi szczęśliwa myśl zapytać się ich, czy nie znają jakiej historyjki?... Wszyscy jak jeden, znali powiastkę o Św. Genowefie, znałem ją i ja! Określiwszy im w przybliżeniu, jak teatr wygląda, scenizując na prędce w myśli

---

*) Podgórze, miasteczko na prawym brzegu Wisły przy Krakowie.

**) Strawne, tygodniowa płaca na życie.

*) Ciuki, duże palce u rąk.

„Czas“. A czasem trąbka pana Domarat lub gwiazdki anonimowej (*) czarujące wygrywa melodye. Ot n. p. przyśniły mu się cudowne motywy, gdy po uczcie katolickich wiecowników, ukołysany brzękiem pucharów, upojony perełkowym nektarem „wdowy po Cliquocie“, rozpłynął się w słodziuteńkiej drzemce poobiedniej. Wreszcie się zbudził; z wyśnionych motywów, uwił pieśń wspaniałą i w krakowskim „Czasie“ zaśpiewał. O! duchy opiekuńcze wieca poznańskiego! Przebaczcie ślepemu Sulli, że o cudownem pięknie, olbrzymich rozmiarach i przeklętych wrogach dzieła waszego pouczył go dopiero wielki Domarat z gwiazdką lub bez gwiazdki. Pisze historya o wspaniałych soborach, pisze o kongresach, gdzie setki mędrców pracowały nad kolumnami Piotrowego gmachu, a przecież to źdźbła, atomy, molekuły wobec Poznańskiego arcydzieła. Nie wierzycie? Przeczytajcie pieśń Domarata!

Tak! Śmiech pusty bierze nad stronnicami kłamstw najpotworniejszych, któremi kuryerowy organista karmi galicyjskich czytelników, a niekiedy krew w żyłach się ścina pod wrażeniem kalumnii jego, ciskanych na przeciwników politycznych, żywych i umarłych. Ten eksliberał poznański, który swojego czasu zaszczycał w łamach „Dziennika“ tytułem „Zgrai czarnej“ klerykalne stronnictwo, stał się fabrykantem opinii zagranicznej w kuryerowym duchu. Wierny zasadzie, „cel uświęca środki“ potargał wszystkie hamulce, — nic go nie wstrzyma, nic nie odstraszy, — byle handel szedł. Garścią błota rzuciłeś Domaracie na pomnik Niegolewskiego — strzeż się, aby narod błotem nie cisnął kiedyś w twoje własne oblicze!

Sulla.



LISTY Z WYSTAWY.

III.

Pierwszym w szeregu faktów świadczących o rozwoju przemysłowym Galicyi jest fakt istnienia samej wystawy krajowej r. 1894. Lat 17 minęło od czasu kiedy Galicya zgromadziła po raz pierwszy kilkanaście pawilonów wystawowych — był to owoc raczej obywatelskich usiłowań kraju, aniżeli jego istotnej potrzeby. Dziś o tem mowy nie ma: można upatrywać w wystawie objaw niezmiernie doniosły dla sprawy narodowej wogóle — nie przeszkadza to jednak, że jest ona istotnie areną wielkiego ożywienia handlu i przemysłu, poznaniem ruchów i centrów przemysłowych i handlowych, To już nie leży ani w energii dyrekcyi wystawy, ani w obywatelskich uczuciach naszych, lecz wypływa bezpośrednio z rozwoju życia ekonomicznego w ostatnich dziesięcioleciach.

Wędrówka po wystawie rozpoczęta od 6,000 metr. kwadr. pałacu przemysłu, prowadząca dalej przez wspaniałą halę maszyn i około pawilonów prywatnych, wież wiertniczych, pawilonów górnictwa i t. d. — poucza nas, czem stoi przemysł galicyjski. Prawdziwą zaś niespodzianką dla mniej obeznanych z Galicyą jest n. p. taki zakład p. Z i e l e n i e w s k i e g o z Krakowa, lub K a z i m i e r z a L i p i ń s k i e g o „pierwszy galicyjski zakład budowy wagonów i fabryka maszyn“ z Sanoka. Jeżeli bowiem mowa o szerszej publiczności z po za Galicyi, to wyobraża ona sobie kraj ten jako rolniczy, wie dalej coś o soli w Wieliczce, węglu w Jaworznie, borysławskim wosku i nafcie.

Okazuje się tymczasem, że nieznane światu rzeczy dzieją się w Samborzach, Sanokach, Przemyślach, że przemysł fabryczny wielki powoli zagląda nawet do archeologicznego Krakowa... Ogólny rozwój przedsiębiorstw przemysłowych w Galicyi uwidocznią dane następujące. Jedenasta cześć ludności Galicyi — żyje obecnie z przemysłu (r. 1890 — 611,738) — w tej liczbie robotników przemysłowych 133,182 (w tem 31.439 kobiet). Ruch w poszczególnych gałęziach przemysłu w okresie lat 1862—1890 uwidoczni tablica następującą:

Liczba przedsiębiorstw:

		w r. 1862.	r. 1885.	r. 1890
I.	Przemysł kruszcowy	3,162.	3,985.	3,833.
II.	„ maszynow.	657.	981.	984.
III.	„ keramiczn.	1.036.	1.2'5	1,116.
IV.	„ drzewny	2.201.	2,964.	2.783.
V.	„ skórzany	6 6.	732.	642.
VI.	„ tkacki	1,552.	1,005.	798.
VII.	„ odzieży i art. mody	7,779.	9,002.	9.862.
VIII.	„ papierowy	166.	210.	216.
IX.	„ art.spożyw.	7,9 6.	10,370.	10,820.
X.	„ chemiczny	901.	1,19[illegible]	1,073.
XI.	„ budowlany	1,275.	1,946.	2,007.
XII	„ poligr. i artystyczny	118.	172.	209.
	Razem przedsiębiorstw	27,399.	33,786.	34.343.
	W tym samym czasie w całej Austryi	381,358.	375,100.	399,037.

W niektórych gałęziach przemysłu jak np. tkackim, względnie kruszcowym nastąpił pewien upadek — ogółem jednak rozwój nie da się zaprzeczyć.

Prawdziwie wielkie postępy okazuje galicyjski przemysł kopalniczy. Pominąwszy znaczenie wszystkich produkcyi soli wartości 7,685,318 złr. — pozostaje rozwój węglarstwa i nafciarstwa.

Galicyjskie pokłady węgla kamiennego czarnego (wyłącznie okręg krakowski) dostarczały

w roku 1871 tylko 2,305,697 kbm.,
w roku 1892 już 6,324,794 kbm.,

wartości 1,117,053 złr. Są to cyfry stojące daleko po za działalnością górniczą Szlązka lub Królestwa Polskiego, lecz świadczące wyraźnie o szybkim rozwoju Galicyi.

Na wystawie spotykasz cały szereg urządzeń górniczych przedstawiających modele szybów, okazy produktów węglowych i t. d. Szkoda tylko, że są one rozrzucone na całym obszarze wystawy i stąd trudne do obejrzenia.

Przemysł nafciarski przedstawia się jeszcze wspanialej. Były czasy, niezbyt zresztą dawne, kiedy nafciarstwo galicyjskie zasadzało się na prywatnem dłubaniu łyżkami w ziemi i stanowiło raczej przyczynę strat w awanturniczych poszukiwaniach, niż poważną rubrykę gospodarki krajowej. Tymczasem oto następujące cyfry wykażą, czem jest dzisiaj. Całkowita konsumpcya nafty w Austro - Węgrzech w r. 1892 wynosiła 1,780,000 kbm. — z tego Galicya dostarczyła 660,000 kbm. t. j. 37 procent ogółu. Jeżeli zaś zestawimy cyfry z lat kilkunastu, to się okaże, że udział Galicyi stale wzrasta: w roku 1883 dostarczała Galicya tylko 10 procent całej konsumpcyi. Nafciarstwo zatrudnia dziś 11,871 robotników.

Sądzę, że czytelnicy mają dość na dzisiaj tych cyfr milionowych. Nie mam też zamiaru przytaczać ich dalszego ciągu. Zaznaczę tylko, że przemysł naftowy i woskowy, solny i węglowy rozwijają się szybko i trwale, tworząc podwalinę przemysłu wielkiego w przyszłości.

* * *

„Tak — precz fantazyi chorej wątłe loty
Tak — precz wybuchy bezsilnej rozpaczy
Hasło dziś nasze inne: — do roboty!“

„Po przeszłości wspaniałej roztrwonionej marnie,
Po wysiłkach zmienionych w okropne męczarnie,
Po marzeniach, co mgłami przepadły w przestrzeni
Wstajem mniej może dumni — ale uleczeni...“

Skąd ta poezya obok cyfr? — pyta zdumiony czytelnik.

Poezyję tę napisał p. Rossowski z okazyi uroczystego otwarcia wystawy. Przytaczam ją jednak nie dla reklamy p. Rossowskiego, lecz, że nie mogę pominąć tego objawu, tak bardzo dla całej Polski charakterystycznego. Czy nie przypominamy sobie wierszy o „młocie i kielni“ Karola Świdzińskiego — owego wylewu uczuć narodowych na tle zakładania fabryk niemieckich w Królestwie? My zawsze garnirujemy romantyzmem wszystko, czem w danej chwili żyjemy. Był czas, kiedy inżynierowie i przemysłowcy byli najulubieńszymi bohaterami naszych powieściopisarzy i kiedy z kursów giełdowych wyczytywano hasła odrodzenia narodu. Był to czas t. z. ideałów pracy organicznej. Wiemy, co stało się z niemi w Królestwie. W Galicyi jednak sprawa przedstawia się nieco inaczej. Niesłusznie pan Rossowski z okazyi powstawania fabryk wymyśla „wątłem lotom chorej fantazyi“ narodu, niesłusznie sądzi, że jesteśmy z czegoś „uleczeni“, niesłusznie sądzi, że „marzenia nasze mgłami przepadły“ — ale słusznie całkiem w Galicyi, mającej, względnie pomyślne warunki istnienia narodowego, rozlegają się znowu hasła pracy organicznej.

Słusznie pan Stanisław Szczepanowski na bieżącym zjeździe techników woła o rozwój wielkiego przemysłu. Prawdą jest, że nie narzekania na ciężary podatkowe, lecz zwiększenie siły podatkowej kraju powino być jego programem ekonomicznym. Jeżeli dziś 100 mil. złr. podatku płaconych z sumy 400 mil. złr. wartości całej gospodarki galicyjskiej ubożą ją — to mniej się da we znaki ten stosunek jutro, kiedy suma ogólna urośnie podwójnie lub potrójnie.

O to też woła głosem doraźnym wystawa powszechna i to zapowiada.

* * *

Za urządzenie mleczarni wzorowej otrzymała fabryka H. Cegielskiego z Poznania dyplom honorowy. Za wyrób zaś odnośnych przyrządów otrzymała ta sama fabryka medal złoty.

Ant. Potocki.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków; 17 lipca.

(W y l u d n i e n i e K r a k o w a, z j a z d l i t e r a c k i, n o w e s t y p e n d j u m, t e a t r. p o ś w i ę c e n i e k o ś c i o ł a, d i o r a m a, W i t o l d P r u s z k o w s k i.)

Jakiś fejletonista napisał przed laty, że w Krakowie w sezonie letnim siedzi na rynku tylko dorożkarz zaspany i pies zmartwiony srodze, że nie ma na kogo szczekać. Jest to zapewne humorystyczna przesada, ale w każdym razie niezbyt daleka od prawdy. Kraków w obecnej porze jest wyludniony i cichy; nawet w gwarnych handelkach przykładna cisza panuje. W takich stosunkach pisać korespondencye nie łatwo, bo jakże tu kontrolować życie, kiedy w około martwota. W obecnym tygodniu zwłaszcza Kraków był i jest zupełnie prawie wylu-

sytuacye, malując słowami akcyę sceniczną odegrałem przed nimi całą św. Genowefę!... Trzeba było widzieć ich twarze, ich oczy... a zwłaszcza słyszeć ich wykrzyki, aby zrozumieć, jakie wrażenie wywarł w ich umysłach ten zaimprowizowany przezemnie teatr!

Następnie odegrałem im w ten sposób „Okno na trzecim piętrze“ Korzeniowskiego; poczem mój interlokutor rzekł:

— Teroz rozumiem, co jest tryater... Jest to niby tak: Dziwne a ciekawe historye mozno opowiedzieć i mozno pokazać... jedne są pisane i te się cyto... drugie są gadane, te się pokazuje... akurat tak samo, jakbym jo obocył coś ciekawego i potem moim somsiodom opowiedzioł, abo tez im oną dziwotę na ocy pokozoł.. to, co im opowiem będzie historyjką pisaną, a to, co pokozę tryjatrem!... a kiedy takie historyje jak św. Genowefa, albo ta hrabina, co na kochanka pistolet porwała, żeby czci mężowskiej bronić, tryjater pokazuje, to robi dobrze... i nie powinien się nazywać komedyami... jeno skołą, albo tyz inacej!

Jan Galasiewicz.

dniony, gdyż i ci co zostają przez lato, wyruszyli tym razem do Lwowa. Pojechali „sokoli“, pedagodzy, profesorowie szkół średnich i „technicy“, a dziś jadą „literaci i dziennikarze“, wszystko to spieszy i pospieszyło na zjazdy, których termin, nawiasem mówiąc, bardzo niestósownie wybrano. Wszystkie zjazdy odbywać się powinny na wiosnę, lub w jesieni, a nie w najskwarniejszą część roku, kiedy każdy pragnie odetchnąć świeżem powietrzem i omijać zdala rozpalone mury miasta.

Zjazd literacki po raz tysiączny wykazał niedołęztwo panujące w zarządzie kolei państwowej. Już przed miesiącem dyrekcya zgodziła się na pewne ulgi dla członków zjazdu, ulgi niesłychanie małe, nie mogące iść w porównanie z temi, jakich w podobnych wypadkach udzielają inne koleje (naturalnie nie austryackie). Ale mniejsza o to, dość, że jakieś tam minimalne ulgi przyznano. Prosta rzecz, że powinien z nich korzystać każdy, kto się wykaże kartą udziału w zjeździe. Ba, tak bywa w Europie, tak bywa nawet w Rosyi, ale nie w Austryi. Zaprowadzono taką formalistykę, że połowa członków zjazdu nie ma jeszcze w dniu dzisiejszem (17go) kart legitymacyjnych na zniżenie ceny. Jest to skandal uchodzący tylko u nas, boć wszakże jutro zjazd się rozpoczyna. Błogosławione rządy J. E. Bilińskiego coraz więcej czuć się nam dają.

Miły „rodak!“

Uniwersytet krakowski otrzymał nową fundacyą stypendyjną. Zmarły przed dwoma blisko laty w Paryżu Józef Franciszek Kasparek, przeznaczył 140 tys. franków na fundusz wieczysty, od którego procent ma być corocznie udzielany dwom uczniom medycyny, którzyby pragnęli uzupełnić w Paryżu studya ukończone na uniwersytecie krakowskim. Stypendya udzielane będą przez zarząd paryskiej Instytucyi czci i chleba tym kandydatom, których rektor uniwersytetu jagiellońskiego przedstawi jako najgodniejszych nietylko pod względem naukowego uzdolnienia, ale także moralności i patryotyzmu.

Przed kilku dniami przybył do naszego miasta ks. biskup Glazer, sufragan przemyski dla dokonania konsekracyi ołtarza w kaplicy św. Jacka u OO. Dominikanów. Z powodu zbliżających się uroczystości jubileuszowych kaplica ta, będąca pięknym zabytkiem renesansu, została odnowioną. W samym klasztorze także poczyniono liczne restauracye, wskutek których w starym refektarzu odnaleziono ślady budowy romańskiej z połowy XIII w., oraz tak w tym refektarzu jak i w krużgankach średniowieczne obrazy ścienne. Wybudowano też nowe wejście do klasztoru od ulicy Stolarskiej z attyką opartą na motywach architektonicznych krakowskich.

Ks. biskup Glazer dopełnił też w poniedziałek poświęcenie nowo zbudowanego kościoła XX. Misyonarzy na Nowej wsi, będącej przedmieściem Krakowa.

W teatrze kazano operetce łódzkiej przemienić się na operę. Mieliśmy więc już i Trubadura i Faworytę i Halkę. Primadonną jest panna Clarissa Cordier, prześpiewana, choć z dobrą szkołą śpiewaczka francuzka. Dzienniki miejscowe jednozgodnie reklamują ową operę z Łodzi przeniesioną. Jako niekompetentny nie wydaję swego sądu i byłbym gotów uwierzyć, że w Łodzi jest dobra opera, gdyby nie to, żem spotkał jednego z muzyków uciekającego z teatru, zatykającego sobie uszy i wijącego się w boleściach.

„Wieliczka“ p. Stachiewicza pokazywana przy sztucznem oświetleniu, zachęciła trzech artystów krakowskich: Włodzimierza Tetmajera, Damazego Kotowskiego i Ludwika Stasiaka do wymalowania kilku obrazów dla wystawienia ich w salach ciemnych przy świetle reflektorów. Artyści ci mają już dwie takie dioramy gotowe. Jedna z nich przedstawia napad niedźwiedzia na stado bydła przy Czarnym Stawie Gąsienicowym w Tatrach, drugi: pochód gwiazdkowy po śniegu na tle wiejskiego kościołka. Z dioramą tą wybierają się artyści do Krynicy, Zakopanego i Warszawy.

Ze sfer artystycznych jeszcze jedna, ale przykra wiadomość. Jeden z najgenialniejszych naszych malarzy, poetyczny i na wskroś oryginalny, Witold Pruszkowski, musiał się poddać ciężkiej operacyi twarzy. Przed dwoma laty uderzył go koń w policzek; zdawało się, iż uderzenie to nie pociągnie za sobą żadnych złych następstw. Widocznie jednak kość policzkowa musiała uledz zgruchotaniu, bo w ostatnich czasach wywiązał się wrzód, a dyagnoza lekarska stwierdziła próchnienie kości. Operacya stała się nieodzowną. *K. Bartoszewicz.*

KRONIKA PARYZKA.

16 lipca.

(Anonimy. Sąd ludu o anarchii i nowym prezydencie. Arcybiskup lyoński, a Carnot. Wdzięczność Francuzów dla byłego prezydenta. Arystokracya a Casimir-Perrier. Z izby).

Za trumną ofiary Caseria nie zapadło jeszcze wieko grobowca, a już nowego Prezydenta zarzucono listami pełnemi strasznych groźb i złowrogich przepowiedni. A nietylko do p. Casimir-Perrier trafiają nikczemne anonimy, lecz i do żony jego już drogę znalazły. Część owych anonimów jest, jak to często w takich razach bywa, dziełem dowcipnisiów — którym każdy uczciwy człowiek życzyć powinien, by się jaknajprędzej z więzieniem poznali i rozpamiętywali tam jak najdłużej słowa katechizmu: „nie czyń drugiemu co tobie nie miło“ — większość jednak jest bezsprzecznie dziełem anarchistów. I cóż tu na to poradzić?! Policya krząta się jak może — aby złemu zaradzić: dość spojrzeć na długie listy aresztowanych, których nazwiska codziennie publikują w gazetach. Dziwne zaiste, że tu więzień nie zbraknie! — Zaraza szerzy się w straszny sposób; wydało się w niektórych miejscowościach jak n. p. w Montpellier, że anarchistów ostrzegł agent policyjny o grożącej ich mieszkaniu rewizyi. W samym Paryżu dzień w dzień odkrywają nowe gniazda anarchistyczne — dzień w dzień przytrzymują na ulicach ludzi wykrzykujących śmierć panu Casimir Perrier, a pochwały dla mordercy Carnota. Dodać trzeba, że zwykle publiczność sama rzuca się na manifestujących, nie czekając policyi — która nawet nieraz z największą tylko trudnością wydobywa winnego z rąk tłumu wściekłego. Jaką nienawiścią pała ogół do tych zbrodniarzy o tem przekonałem się przedwczoraj będąc mimowolnym świadkiem przyaresztowania dwóch anarchistów. Było to na placu Pigalle. Wsiadłszy na stacyi za rychło do omnibusu „Place Pigalle - Halle Aux vins“ i nie chcąc się parzyć we wnętrzu, czekałem na platformie chwili wyruszenia. Plac był dość pusty. Wtem na rogu bulwaru Rochechouarel ukazuje się klusem pędzących trzech sergents de ville. Dobiegają dwóch młodych ludzi przechodzących około krat fontanny — rzucają się na nich i niespodziewanym napadem zmieszanych z łatwością wiążą. — W jednej sekundzie naturalnie plac zapełnił się ciekawą gawiedzią. Ponieważ jednak „sergoty“ nie cieszą się tu zbyt wielką sympatyą publiczności, - ciekawi patrzeli z spokojem zupełnym na scenę uwięzienia, biorąc prawdopodobnie w sercu stronę uwięzionych. Wtem pada słowo: „Anarchiści.“ I w tej samej chwili zmienia się scena — słyszę krzyki, złorzeczenia — widzę gniewem rozpalone twarze i pięści grożące.

Co do nowego Prezydenta, to powiedzieć można, że jest również odważny jak jego poprzednik i lekceważy najzupełniej groźby i przestrogi. Mimo wszelkich anonimów, mimo próźb przyjaciół, wychodzi codziennie bez otoczenia i odbywa pieszo, sam, jeżeli czas mu pozwala, długie spacery. „Il est crâne, not' Président“ ak mi mówił z widocznem uznaniem robotnik, stojący wówczas na placu Pigalle, koło mego omnibusu, z którym się wdałem w gawędę.

Gawędy z ouvrierami paryzkimi należą do wielkich przyjemności moich. Więcej mnie one pouczyły niż niejedna arcy-mądra książka, traktująca kwestyę socyalną. Robotnik tutejszy, który rzeczywiście szczerze pracuje, który myśli poważnie o obowiązkach względem rodziny, ten o anarchii nic wiedzieć nie chce. — Potępia ją całą siłą przekonania, uważając za plagę, za największe nieszczęście dla kraju. Co do zapatrywania na formę rządu — to różnie zdarzyło mi się słyszeć.

W gruncie, forma rządu jest robotniczej klasie dość obojętną. „Pokoju i zarobku, oto czego chcemy“, mówił mi raz wysoki, chudy, wiekiem już trochę pochylony murarz. „La paix et du travail“ powtórzył kilkakrotnie. — Zdaje mi się, że to okrzyk serca całej tej dzielnej, francuzkiej klasy robotniczej. Życzę więc im tego: la paix et du travail!“ —

Ale wrócić muszę jeszcze do p. Casimir-Perrier. Przez ten jeden tydzień rządów zdążył nowy Prezydent nietylko ściągnąć na siebie pogróżki krwawego sztandaru, ale zdążył już i część Izby i część prasy oburzyć. Dąsają się tu na niego, że jego pierwszym aktem władzy było powrócenie arcybiskupowi Lyonu od dłuższego już czasu zawieszonej pensyi. — Krzyczą więc, że klerykał, chociaż czyn Prezydenta był poprostu aktem sprawiedliwości, a nawet tłomaczyć go można jako akt czci dla pamięci Carnota, bo wiadomo, że arcybiskup Lyonu udzielił Ostatnich Sakramentów umierającemu Prezydentowi. Gdy już mowa o arcybiskupie Lyonu, to pozwólcie, że raz jeszcze wrócę do tyle razy wspomnianych ostatnich chwil p. Carnota. Zaraz po nieszczęsnym wypadku w Lyonie, dzienniki tutejsze, w sprawozdaniach o śmierci prezydenta, nadmieniały z naciskiem, że w chwili gdy arcybiskup stanął przy łożu umierającego, ten już nie miał przytomności i do końca jej nie odzyskał. Tymczasem rzecz się miała inaczej. Dla miłości prawdy szczerej i tendencyą nie zabarwionej skreślę choć w kilku słowach wizytę Arcybiskupa, przedstawiając fakta tak jak się odbyły: W chwili, gdy Arcybiskup wszedł do pokoju dogorywającego Carnota prezydent poznał go od razu, wyciągnął do niego rękę i rzekł: „Księże Arcybiskupie pobłogosław mi.“ — Nietylko pragnę pana pobłogosławić, ale dać mu rozgrzeszenie“ — odparł dostojnik kościelny. Po wezwaniu chorego do żalu za grzechy, i po udzieleniu mu rozgrzeszenia i ostatnich Sakramentów, zwrócił się Arcybisksp do obecnych: „Teraz panowie uklęknijmy i módlmy się za Prezydenta“. Wszyscy przyklękli i głośno odpowiadali na modlitwy Arcybiskupa.

Podaję fakt prosty, nie wdając się w żadne komentarze.

Jeszcze przed pogrzebem zmarłego prezydenta uradzono, że jego wdowie naród płacić będzie dożywotną pensyą. Pana Dupuy wydelegowano, by oznajmił pani Carnot postanowienie Rady. Pani Carnot jednak w swem i dzieci imieniu w bardzo serdecznych, lecz bardzo stanowczych słowach, odmówiła. „Dowody żalu po zmarłym i przywiązania, których Francya nam nie poskąpiła, wystarczają nam zupełnie. Niczego więcej nie pragnę.“ Godne to zaiste tej zacnej, uczciwej i wielkiej szlachetności uczuć kobiety — godne żony zmarłego, który był przedewszystkiem uczciwym człowiekiem, nie ciągnącym nigdy żadnych zysków z wysokiego swego stanowiska. A dodać trzeba, że majątek osobisty Carnotów nie jest zbyt wielkim — daleko im do 40 milionów dzisiejszego prezydenta. Gdy pani Carnot pensyi nie przyjęła, w inny sposób Francya cześć swą dla zmarłego pokaże. Nie mówię tu o pomnikach, bo to zupełnie przewidziana rzecz — składki zbierają się nietylko w Paryżu i Lyonie, ale w całej Francyi.

Mam tu na myśli projekt pań francuzkich utworzenia jakiej dobroczynnej instytucyi imienia Carnot, której patronką byłaby pani Carnot. Nic jeszcze pewnego nie postanowiono, ale myśl ta wydaje mi się bardzo piękną — i bardzo trafną.

Teraz, gdy p. Casimir-Perrier stanął na czele Francyi, arystokracya francuzka, trzymająca się od czasów ustąpienia z prezydentury marszałka Mac Mahona zdala od pałacu Elizejskiego, zaczyna się wachać i naradzać co począć. Bo trzeba wiedzieć, że p. Casimir-Perrier liczy wśród arystokracyi tutejszej nietylko dużo przyjaciół i znajomych, ale także dużo krewnych bliższych i dalekich. Czy się

arystokracya przestanie dąsać na pałac Elizejski, czy pojednanie nastąpi, dowiemy się dopiero za kilka miesięcy, gdy z wilegiatur świat modny na zimowe leże do Paryża znowu powróci.

W francuzkiej izbie, nie odznaczającej się nigdy zbyt wyszukanem zachowaniem, dochodzi od pewnego czasu nieomal na każdem zebraniu do wprost skandalicznych scen. Piękne te maniery zaprowadziła partya skrajnych socyalistów. Nie myślę atakować przekonań tych panów, ale tylko sposób wyrażania przekonań. Gdy tylko poruszoną jest jaka drażliwa dla nich kwestya, a przytem deputowany, głos zabierający posiada pewne znaczenie w Izbie, gdy słowa jego zaważyć mogą na szali, uciekają się panowie skrajnej lewicy, do studenckich sztuczek. Trzeba to widzieć na własne oczy i słyszeć na własne uszy, bo temu uwierzyć trudno. Wrzask, bębnienie o pulpity, gwizdanie, śpiewy zagłuszające — nie rzadko wycia i miauczenie. Nie dawniej, jak w przeszły czwartek odbyła się podobna „heca“ z powodu odrzucenia przez Izbę wniosku amnestyi bezwzględnej dla politycznych przestępców. Chodziło tu głównie skrajnej lewicy o dziennikarzy wydalonych z powodu artykułów, wzywających do rozruchów, a również przewódzców i rozdmuchiwaczy strejków. A jednak mimo piekielnej muzyki, mimo gradu strasznie nieparlamentarnych słów — projekt przyjętym nie został. A... Y...

KRONIKA LITERACKA.

— „**Bestie delinquenti**“. Taki tytuł, przypominający dzieło Lombrosa „O człowieku zbrodniarzu“, nosi praca adwokata Carlo d'Addosio, wydana w Neapolu. Treść książki posiada charakter przeważnie kryminalno-historyczny, odpowiadający ogłoszonej przed kilku laty książce Aminy „O karach i procesach zwierząt“. Jak wiadomo, rozkwit tychże przypada głównie na wieki średnie, a najliczniej zdarzały się one we Francyi, chociaż autor nie skąpi także przykładów, czerpanych z historyi cywilizacyi Hiszpanii, Włoch, Niemiec. Dziełko zawiera 11 rozdziałów, z których pierwszy podaje uwagi wstępne o planie i treści książki. Rozdział II zajmuje się procesami karnemi przeciwko zwierzętom występnym, którym autor przeciwstawia zarówno procesy cywilne (III), jako też procesy o stosunek ze zwierzętami (IV). Procesami cywilnemi autor nazywa owe w uroczystą formę przyobleczone rozprawy sądowe, praktykowane w wiekach średnich przeciwko złośliwym zwierzętom, zwłaszcza owadom (komary, szarańcza). Po wyłuszczeniu w rozdziale V szczegółowych danych z procesów włoskich, autor w rozdziale VI zajmuje się pytaniem o przyczynach owych dziwnych na pozór zjawisk. Skrytykowawszy zdania wielu pisarzy, d'Addosio wypowiada sąd własny, iż głównie tłomaczyć należy przyczynę pojawienia się procesów zwierzęcych wiarą w poczytalność zwierząt. Umotywowaniu tego twierdzenia poświęcone są rozdziały VII—X, w których przedstawione zostały przepisy prawne o stosunkach zwierząt do prawa, zwłaszcza karnego, od Pisma świętego począwszy, aż do zbiorów prawodawczych wieków średnich. Rozdział XI, ostatni, mówi o zwierzętach w prawie przyszłości i kładzie szczególny nacisk na różnicę między traktowaniem zwierząt pod względem prawnym w teraźniejszości z jednej, a przeszłości z drugiej strony, przyczem poruszona też została kwestya wiwisekcyi i znęcania się nad zwierzętami. Ciekawe są dołączone w dodatku „Documenti“, z których n. p. Nr. XIX zawiera spis chronologiczny 144 relacyi o procesach zwierząt od roku 824 do 1845, ułożony podług autorów, daty, rodzaju zwierząt i miejsca wypadku. („Gaz. Sąd.“)

* * *

— **Nr. 13 „Słowa Polskiego“** wyszedł i zawiera: Przegląd polityczny. — Sprawy polskie: Walka z germanizacyą (Szkice z Ks. Poznańskiego), nap. Izydor. — W pełni wystawy (Szkice), nap. Es-te-ka. — Nauka i Spirytyzm (dokończenie), V., nap. Władysław Kozłowski. — Powieść i poezya: Ranna pobudka, nap. Stefan Komornicki. — Malarz z Poręby (obrazek z życia ludu galicyjskiego), nap. Kroć. — Echa polskie. — Rozmaitości. — Bibliografia. — Ogłoszenia.

* * *

— **Słownik polsko-czeski**. Autor słownika polsko-czeskiego, p. Lotak, bawiący w Warszawie, otrzymał zawiadomienie z Pragi Czeskiej, iż akademia przyznała mu subsydyum w sumie 6000 guldenów na wydanie dzieła. Z uwagi, iż kwota pomieniona nie jest wystarczającą, zajmujący się losami wydawnictwa prof. Horky, rozesłał do księgarzy cyrkularz z prośbą o przyjmowanie przedpłaty. Dopiero po zgromadzeniu odpowiedniej liczby przedpłacicieli, pierwsze arkusze oddane będą pod prasę.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Wiadomości społeczne i polityczne.** Angielska Izba niższa przyjęła bil budżetowy w trzeciem czytaniu. — Bojkotowanie browarów berlińskich trwa w dalszym ciągu. Bojkot grozi ruiną właścicielom mniejszych lokali. Niektóre pisma rządają interwencyi rządowej. — Stosunek Chin i Japonii zaostrza się coraz więcej. Starcie zdaje się nieuniknionem mimo pokojowych zabiegów rosyjskich. — Lyońscy Włosi żądają od rządu francuzkiego dwa miliony franków odszkodowania za straty poniesione w skutek antiwłoskich rozruchów po morderstwie Caseria. — Na stolicy biskupiej w Fuldzie zasiądzie Jerzy Komp, regens seminaryum fuldajskiego.

— **Zjazdy i kongresy.** We Lwowie odbyły się trzy zjazdy: zjazd pedagogów, zjazd sokołów, zjazd literatów i dziennikarzy. — W Antwerpii zakończyły się obrady międzynarodowego kongresu prasy. — W Haadze odbył się międzynarodowy zjazd prawników. — W Londynie odbędzie się w r. b. międzynarodowy kongres kolejowy.

— **Teeatr i mrzyka.** Sudermann napisał nową komedyę p. t. „Schmetterlingsschlachten“. — Wiktoryn Sardou ukończył dramat p. t. Louis XVII. — Najnowsza operetka Straussa p. t. „Jabuka“ grana będzie we Wiedniu. — Teatr w Lublinie wydzierżawiono panu Józefowiczowi. — We Lwowie wystawiono Afrykankę z p. Kruszelnicką w roli tytułowej i Schlafenbergem w roli Vasco de Gama. We wtorek odegrano „Straszny Dwór“, a w operze tej wystąpiła gościnnie p. Eugenia Strassern. — Irena Abendrotówna wraca do Wiednia po dłuższym pobycie w Monachium. — Paderewski pisze podobno operę na tle współczesnych stosunków słowiańsko-niemieckich. Dnia 9 września wystąpi Paderewski z koncertem we Lwowie, a na sezon zimowy uda się znów na koncerta do Ameryki, za które otrzyma 300 tysięcy rs.

— **W Berlinie** zawiązało się towarzystwo pod nazwiskiem „Pan“. Celem tego towarzystwa jest wydawanie organu, poświęconego sztuce, w którym zamieszczane będą prawdziwie artystyczne reprodukcye. Dział literacki wzięli na siebie wybitni literaci berlińscy. Przyjście do skutku poręcza współudział kilku mecenasów sztuki ze świata finansowego. Do rady nadzorczej należą: prof. R. Begas, rzeźbiarz; radca Bode, dyrektor starego muzeum berlińskiego; Böcklin, malarz Dr. R. Dehmel, poeta; Arne Garborg, powieściopisarz; Dr. Max Halbe, Otto Erich Hartleben, malarz L. v. Hofman, prof. hr. Kalckreuth, Maks Liebermann, baron Liliencron, poeta, prof. Gabriel Maks, St. Przybyszewski, literat, prof. Skarbina, prof. F. Uhde, prof. Fr. Stuck i wielu innych.

— **Polacy w Petersburgu.** Według spisu jednodniowego, dokonanego w r. 1890, w Petersburgu znajdowało się 46,090 osób wyznania katolickiego. W tej liczbie 5,959 osób podało język ojczysty rosyjski 21.857 polski, 174 białoruski, 30 małoruski, 69 żmudzki, 662 łotyski, 1670 litewski i t. d.

— **Założenie kolonii** „Freilandu“ w Zanzibarze, projektowanej i propagowanej przez dra Wilhelma z Berlina, nie może dojść do skutku. Grupa amatorów, złożona z 30 ludzi, przybyła szczęśliwie na miejsce wybrane i zabrała się do urządzenia stosunków według opracowanego projektu, atoli przeszkody, stawiane przez władze angielskie i innych państw, które niechętnem okiem spoglądały na te próby, stanęły na zawadzie urządzeniu kolonii.

— **We Lwowie** bawi obecnie Jarosław Vrchlicky, pierwszy współczesny poeta czeski, a może słowiański. Przed rokiem genialny poeta obchodził 25-tą rocznicę swej działalności poetyckiej. Jakiż to dorobek, wniesiony przez tego pieśniarza do skarbnicy literatury czeskiej? Dorobek rzeczywiście ogromny — przeszło 40 tomów poezyi i z 10 tomów wytwornej, prześlicznej prozy. Śmiało powiedzieć możemy, że to, co u innych narodów robią i czego z trudem dokonują całe generacye poetów, u Czechów zrobił sam jeden Vrchlicky. Ten niepokaźny człowieczek bez majątku, bez stanowiska) był sekretarzem uniwersytetu), bez protektorów i zachęty, jedynie dzięki olbrzymiemu talentowi i niezmordowanej pracy. A co zrobił z języka czeskiego! Jakie nowe światy pojęć zdobył dla niego, jakie morze czarujących melodyi wykrył i wyjawił w nim! Obok niezrównanego mistrzostwa formy Jarosław Vrchlicky jest najpotężniejszym dziś przedstawicielem czystego i szerokiego humanizmu w poezyi narodów cywilizowanych.

— **Panna Józefa Skórzewska**, powieściopisarka, znana pod pseudonimem „Estei“, połączyć się ma wkrótce związkiem małżeńskim z p. Kazimierzem Kisielnickim, właścicielem ziemskim w Królestwie Polskiem.

— **W ostatnim** zeszycie „Moderne Kunst“ zamieszczono doskonałą reprodukcyę obrazu Wacława Szymanowskiego: „Spotkanie“. W tymże numerze pojawił się sympatycznie napisany artykuł o wystawie lwowskiej, jako pierwszy z całej seryi artykułów, zapowiedzianych o naszej wystawie.

Zmarli:

— **Bruno Piglheim**, malarz, umarł w Monachium. Na wystawie berlińskiej zwracało przed dwoma laty powszechną uwagę na siebie wielkich rozmiarów płótno tego artysty, przedstawiające ślepą dziewczynę kroczącą po przecudnej równinie, zasianej czerwonemi makami, w świetle ostatnich blasków zachodzącego słońca.

— **Prof. dr. Józef Hyrtl**, słynny anatom. Urodził się w roku 1811 w Eisenstadt na Węgrzech. Z licznych dzieł jego doczekały się największej popularności: „Lehrbuch der Anatomie des Menschen“, (tłomaczone nieomal na wszystkie języki europejskie) — „Handbuch der topogr. Anatomie“ i „Beiträge zur vergleichenden Angiologie“.

— **Leconte de Lisle,** członek akademii francuzkiej, jeden z najsłynniejszych liryków współczesnych, w 76 r. życia.

BIBLIOGRAFJA.

— **Wiktor Hahn**. Kilka słów o genezie Mindowego, tragedyi Juliusza Słowackiego. Lwów 1894.

— **Wincenty hr. Łoś**. Swat. Powieść współczesna. Lwów 1894. Cena 400 Mrk.

Biblioteka humorystyczna „Śmigusa“. Lwów 1894. Cena 1.00 Mrk.

— **M. Rodoć**. Satyry i fraszki XII. Lwów 1894 Cena 1,00 Mrk.

— **Dyalogi, monologi i deklamacye**. Nakładem T. H. Nasierowskiego. Warszawa 1894. Cena 1,00 M.

— **Dr. Zygmunt Lilienfeld**. O strukturze posiłkowej poręki austryackiej z uwzględnieniem prawa rzymskiego i powszechnego. Lwów 1894. Cena 4,00 Mrk.

— **K. Hemerling** i **W. Berner**. Podręcznik dla kolarzy. Lwów 1894. Cena 1,00 Mrk.

Odpowiedzi Redakcyi.

— **T Fro...** Pamiętnik zjazdu literatów i dziennikarzy polskich już wyszedł. Niechaj pan raczy go zapisać w którejkolwiek księgarni.

— **M. M.** Nadesłanego obrazka zamieścić nie możemy. Myśl dobra ale forma słaba.

— **Jadwidze**. Nie radzimy budować zamków na lodzie. Niechaj się chłopiec rozwinie i dojrzeje, a wtedy dopiero o rodzaju uzdolnienia i kierunku dalszych studyów wyrokować można. Z nadesłanych próbek żadnych wniosków nie wyciągamy.

Sprostowanie.

— W Nr. 16 str. 7. łam 1. wiersz 26 od dołu czytać należy zamiast „starcie Niemiec i Austryi“ — „starcie Niemiec i Francyi“

Składki

— **Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki** złożyli w redakcyi pisma naszego:

Dr. Bolesław Krysiewicz	3,00	Mrk.
Mecenas Bernard Chrzanowski	3,00	„
Jan Krysiewicz iun.	3.00	„
Dr. Dyonizy Karchowski	3.00	„
Dr. Wł. Rabski	3,00	„
Dr. Czesław Szczeszyński	1.50	„
Razem	16,50	Mrk.

Dalsze składki chętnie przyjmujemy.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.